

Exemplarz obowiązkowy  
BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

## PORYTOWE WZGÓRZE

Mirosław Derecki str. 3

## BARWY DNI I ROK „BARW“

Jerzy Dostatni str. 5

## ODŁOGI I BEZDROŻA

Alojzy Sroga str. 11

Exemplarz obowiązkowy

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# KRAMENIA

LUBLIN 16 VI 1974 Nr 12 (550)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## LUBELSKIE MPK

### NAJLEPSZE W KRAJU

# NA CO WIĘC NARZEKAMY?

Maciej Podgórski

**P**ODOBNO wskutek zdrożenia paliwa zniknęło z ulic naszych miast 40 procent prywatnych samochodów osobowych. Czyżby ludzie miejscy gremialnie odprzedali swe pojazdy bogatym chłopom, a motoryzacja indywidualna w ogóle została przyhamowana z powodu braku chętnych nabywców? Bynajmniej. W dalszym ciągu popyt na samochody osobowe przewyższa w naszym kraju podaż. Wyjawszy nabycie Fiata 125p (głównie w wersji 1500), kiedy to wchodzi się do sklepu, kładzie pienią-

dze na stół i wyjeżdża własnym pojazdem, kupno za gotówkę, nie mówiąc już o kupnie ratalnym, jakiegokolwiek innego auta w sklepie państwowym wymaga czekania (przedpłata lub przydział). Zaś krajowy przemysł motoryzacyjny planuje wyprodukować w roku 1980 blisko pięć razy tyle samochodów osobowych co w roku bieżącym, licząc się właśnie z potrzebami rynku.

Dokończenie na str. 7

# RADOM: między Kielcami a Warszawą

Marek Adam Jaworski

Informatorzy wolą pozostać anonimowi. „Ja panu powiem — słyszę kilkakrotnie — ale pod warunkiem, że pan nie wymieni mego nazwiska. Po co mam mieć kłopoty?” Albo: „Jestem tutaj człowiekiem nowym. Pan wyjedzie, a ja zostanę. Mogą mnie zagryźć.”

Początkowo myślałem, że usłyszę bógwico.

Dokończenie na str. 8-9

# Muzealna melancholia

Ireneusz J. Kamiński

**Z**MUZEUUM Okręgowego w Lublinie skradziono niedawno zabytkowe srebra wartości ok. ćwierć miliona złotych. Sprawca posłużył się metodą dzieciinnie prostą: wlał na rusztowania okalające obiekt, dalej przez okno, mimochodem forsując jakieś zabezpieczające metale. Jako że amator, a do tego bez wyższego wykształcenia kierunkowego — ani historyk sztuki, ani conceptualista — szybko został pojmany i odstawiony do loszku. Nieco wcześniej, przy końcu marca tego roku, podobna historia

wydarzyła się w Puławach, gdzie raduje oczy Domek Gotycki, pełniący dziś rolę muzeum, a wzniesiony w XVIII w. przez Piotra Aignera, nadwornego architekta książąt Czartoryskich. W tych zamierzonych czasach obiekt ten także występował w charakterze skarbcza starożytności, chroniąc m. in. szczyptę popiołu Abelarda i Heloizy, gałązkę z miejsca, gdzie

Dokończenie na str. 4-5



Telefony. Jedna ze specjalności Radomia

Fot. B. Duda





## Razem!

**G**OŚCILIŚMY ostatnio w Polsce delegację partyjno-rządową Niemieckiej Republiki Demokratycznej, na której czele stali: Erich Honecker, I Sekretarz KC Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, i Horst Sindermann, Przewodniczący Rady Ministrów.

Wizyta odbywała się w szczególnym okresie: przed 30-leciem PRL i 25-leciem NRD. Fakt ten znalazł swoje odbicie w specjalnym Oświadczeniu przywódców obu krajów.

Oświadczenie podkreśla, że:

● u podstaw powstania PRL i NRD leży zwycięstwo narodów nad faszystowskimi Niemcami, do którego decydujący wkład wniósł Związek Radziecki;

● dzięki powstaniu Polski Ludowej i NRD można było dokonać zasadniczego, historycznego zwrotu w dziejach stosunków polsko-niemieckich;

● treścią wzajemnych stosunków między PRL a NRD było i pozostaje stale rozszerzanie oraz pogłębianie więzi politycznych, ideologicznych i gospodarczych, udzielanie sobie pomocy w rozwiązywaniu zadań budownictwa socjalistycznego w obu krajach;

● w walce o pokój i postęp społeczny PZPR i SED są i będą nadal solidarne z międzynarodowym ruchem robotniczym i wszystkimi demokratycznymi siłami w krajach kapitalistycznych oraz z narodami walczącymi przeciwko uciskowi kolonialnemu i neokolonializmowi, przeciwko faszystom i rasizmowi;

● w roku jubileuszowym przywódcy obu partii i rządów zwracają się do klasy robotniczej, chłopów, inteligencji, do młodzieży — nowej generacji budowniczych socjalizmu, aby wypełniały coraz bogatszą treścią współpracę wzajemną, umacniały przyjaźń między obydwojma państwami i narodami.

Obok Oświadczenia inny dokument podpisał premier obu rządów. Rozwija on ubiegłoroczną Deklarację o umocnieniu przyjaźni i współpracy między PRL a NRD, zwłaszcza jeśli chodzi o powiązania gospodarcze. Podjęte decyzje mają na celu dalsze zwiększenie kooperacji i specjalizacji produkcji, głównie w tych gałęziach przemysłu, które decydują o nowoczesności.

Symbolom nowego etapu integracji są m. in. budowana wspólnie w Zawierciu przedziałnia bawełny „Przyjaźń” i działająca już wspólna organizacja „Interport”.

Jak podkreślił E. Honecker w czasie spotkania z mieszkańcami Warszawy, roczny zakres wzajemnej wymiany towarowej przekroczył wartość jednego miliarda rubli dewizowych. Między Polską Ludową a NRD zawarto obecnie 160 umów i porozumień w dziedzinie gospodarczej, w tym 117 o specjalizacji i kooperacji produkcji. W samej tylko dziedzinie badań podstawowych i stosowanych przedłożono około 100 projektów.

Wizyta przywódców NRD w naszym kraju przebiegała w atmosferze serdecznej przyjaźni. Poza Warszawą gościli oni w województwie bydgoskim, gdzie mieli możliwość poznać nie tylko „Ełanę”, ale i jedną ze spółdzielni produkcyjnych — Plebanę, która specjalizuje się w warzywnictwie i ogrodnictwie. Część swych plonów spółdzielcy eksportują do NRD. Podniosłym akcentem stał się pobyt we Włocławku, rodzinnym mieście Juliana Marchlewskiego, działacza polskiego i niemieckiego ruchu robotniczego.

**C**HOC kilka słów wypada napisać o piłce nożnej. Mistrzostwa świata w Monachium zaczynają się już 13 czerwca, drużyna polska rozgrywa swój pierwszy mecz z Argentyną 15 czerwca. Wszystkich kibiców czekają nie lada emocje.

Regulamin faworyzuje obronę. Na dotychczasowych mistrzostwach świata grywano systemem pucharowym, który w ciągu dnia eliminował cztery z ośmiu drużyn. Obecnie każda z tej ósemki rozegra po trzy spotkania. Drużynie mogą wystąpić w pierwszej turze dwa remisy (0:0) i strzelenie w trzecim meczu jednej bramki, aby zakwalifikować się do dalszych rozgrywek.

nie brała również pod uwagę, że regulamin faworyzuje obronę. Tylko w meczach: Urugwaj — Holandia, Bułgaria — Urugwaj i Szkocja — Jugosławia po pięciu ekspertów wypowiedziało się za remisem.

Eksperti nie uwzględnili również — i tu należy się już mniej dziwić — taktycznych porażek. Trener NRF, M. Merkel, uważa np., że NRF nie musi za wszelką cenę pokonać NRD w dniu 22 czerwca. Zajęcie drugiego miejsca w grupie może dla dalszych rozgrywek okazać się korzystniejsze niż zajęcie miejsca pierwszego.

Postanowiliśmy zrobić konkurencję ekspertom Totalizatora i w gronie dziesięciu nieekspertów, spośród których

## Polska gola...

Jeśli jednak obrona, to stracą na tym same widowiska sportowe. Nie chcielibyśmy być świadkami murowania bramek, chyba że... nasi piłkarze szczęśliwie i zjadnie by się bronili, mając dwa gole w zapasie. Bo wszystko przecież zależy od punktu widzenia i sympatii do określonej drużyny.

O szansach Polski nasza prasa, i nie tylko nasza, rozpisują się już od czasów sławetnego losowania. Eksperti Totalizatora Sportowego typują tak:

Polska-Argentyna: zwycięstwo Polski — sześciu, remis — trzech, zwycięstwo — Argentyny — jeden.

Polska-Haiti: zwycięstwo Polski — ośmiu, remis — jeden, zwycięstwo Haiti — również jeden.

Polska-Włochy: zwycięstwo Polski — cztery, remis — trzech, zwycięstwo Włoch — trzech.

Większość ekspertów jest więc nastawiona bardzo optymistycznie. I wszystko bardzo by cieszyło, gdyby owa większość miała rację przy... rozgrywkach ligowych. Zawsze los płata jednak wiele niespodzianek: drużyna, za którą opowiada się zaledwie jeden ekspert, wyraźnie zwycięża, np. 3:0...

Większość ekspertów Totalizatora przy typowaniu wyników mistrzostw

czterech w życiu nie było na żadnym meczu piłkarskim, tak wytypowaliśmy wyniki:

Polska — Argentyna: zwycięstwo Polski — czterech, remis — trzech, zwycięstwo Argentyny — trzech.

Polska — Haiti: zwycięstwo Polski — pięciu, remis — trzech, zwycięstwo Haiti — dwóch.

Polska — Włochy: zwycięstwo Polski — jeden, remis — siedmiu, zwycięstwo Włoch — dwóch.

Kto był bliższy prawdy: eksperci czy nieeksperti pokaże najbliższa przyszłość.

Osobiście nie będę wieszał psów na naszej drużynie, jeśli w swej grupie zajmie nawet trzecie miejsce i odpadnie z dalszej rywalizacji. Z góry wolę być na to przygotowany, tak jak byłem przygotowany na porażkę z reprezentacją Anglii w Londynie. Bo zawsze lepiej się cieszyć w razie niespodziewanego sukcesu niż martwić w wypadku niespodziewanej porażki. A nasi piłkarze i tak uczynili wiele zdobywając paszporty do NRF. Jeśli wrócą stamtąd przed ostatecznym zakończeniem rozgrywek, powitajmy ich przynajmniej ciepło. Bo do gwizdania i tak mamy sporo okazji.

MAJ

## CIEKAWOSTKI

### Kolej na Karola?

**K**SIĘŻNICZKA Anna wyszła za mąż za kapitana Marka Phillipsa. Już ponad pół roku minęło od tego ślubu, który tak pasjonował Brytyjczyków. Teraz coraz głośniej zaczyna się mówić o małżeństwie księżki Karola, następcy tronu. Jego wybranka musi być: 1) protestantką, 2) szlachcianką, 3) panną.

Osobę Karola wzięto niedawno z 17-letnią Karoliną Grimaldi, córką władcy Monaco. Karolina, o dziewięć lat młodsza od Karola, ma jednak poważną wadę: jest katoliczką. Oboje czują do siebie sympatię, ale księżę ponad wszystko ceni wierność tradycji.

Niedyskretna prasa angielska twierdzi, iż kandydatką numer jeden stała się lady Jane Wellesley, potomkini pogromcy Napoleona. Lady Jane ma być uosobieniem wszelkich cnót.

Księżę Karol oświadczył jednak, że jedyną kobietą, która go zafascynowała, jest Lucia Santa Cruz, córka byłego ambasadora Chile w Londynie. Ponieważ jednak, o czym wyżej, księżę ponad wszystko ceni wierność tradycji, małżeństwo z Chilijką nie wchodzi w rachubę.

A więc Jane? A może dalsze poszukiwania odpowiedniej kandydatki? W sumie sprawa jest bardzo delikatna, bo w rodzinie królewskiej nie ma przecież rozwodów. Jak dotychczas...

### Bariery prawne nie pomagają

**M**IMO bariery prawnych zagranicznymi nabywcami grożą wywłaszczeniem mieszkańcom greckich wysp — pisze ateński korespondent amerykańskiej agencji UPI. Korespondent John Rigos cytuje wypowiedź C. Stambolisa, greckiego architekta:

— Na niewielkiej wyspie Skathos biznesmeni brytyjscy i niemieccy wykupili już pas wybrzeża, a obecnie posuwają się w głąb lądu. Cudzoziemiec kupuje zazwyczaj jeden akr ziemi (4 tys. m kw.) i buduje dom letniskowy, w którym żyje z renty, albo spędza wakacje. Nad zatoką Kanapitsa cena jednego akra dochodzi do 800 000 drachm (27 tys. dolarów). Wieśniacy sprzedają pole, ponieważ często nie mogą go uprawiać z powodu braku rąk do pracy. Pęd ludności wiejskiej do miasta, a także emigracja zarobkowa ułatwiają cudzoziemcom kupno działki na wyspach greckich.

Jak wynika z innych danych, niewielka wyspa Korfu całkowicie wyprzedala swoje tereny nadmorskie, na których przybysze wznoszą hotele. Podobnie jest z wyspami: Patmos, Paros, Santorini i Ios. Ale na przykład na takie wyspy, jak Chios, Karpathos czy Andros nie udało się wśliznąć cudzoziemcom. Ich mieszkańcy albo nie odczuwali potrzeby wyprzedania ziemi, albo po prostu nie chcieli obecności cudzoziemców.

## W Lizbonie

**P**ORTUGALIA w dalszym ciągu skupia na sobie uwagę światowej opinii publicznej. Oto właśnie nadeszła z Lizbony wiadomość, iż sposoby rozwiązania kwestii kolonialnej w Afryce po raz pierwszy stały się tematem otwartej konfrontacji między lewicą rządową a prezydentem de Spínola i przedstawicielami prawicy w rządzie. Prof. Jorge Campinos, członek kierownictwa Portugalskiej Partii Socjalistycznej, który uczestniczył w londyńskich rozmowach z PAIGC (ruchem wywoleńczym Gwincii), zagroził wycofaniem się socjalistów z rządu, jeśli rokowania zakończą się fiaskiem. Nie trzeba dodawać, że wszelkie nieporozumienia w kierownictwie państwowym mogą być tylko na rękę siłom faszystowskim, które raz po raz usiłują podnosić głowę.

Reakcja próbowała uprzednio doprowadzić do strajku powszechnego, którego podłożem miałyby być trudności gospodarcze. Liczyła na to, iż do akcji zostanie wciągnięte wojsko i zastosuje represje wobec strajkujących. (Tu warto przypomnieć, że gospodarka Portugalii nadal jest kontrolowana przez trzy wielkie kompleksy przemysłowo-kapitałowe; pod tym względem nie się nie zmieniło po upadku Caetano. Nowy rząd uważa się za tymczasowy; pragnie on doprowadzić do wyborów powszechnych i wyłonienia się faktycznej reprezentacji narodu, która zdobędzie mandat do przeprowadzenia gruntownych reform).

Do strajku powszechnego nie doszło. W dużej mierze — dzięki stanowisku Portugalskiej Partii Komunistycznej, która w porę przejrzała zamierzenia prawicy. Pewne uspokojenie w metropolii zamaca jednak problem Gwincii, Mozambiku i Angoli.

„Cóż pocznie biedna mała Portugalia bez terytoriów zamorskich?” — zapytują obłudnie przedstawiciele reakcji, przybierając pozy obronców — już nie kolonializmu, ale samych Portugalczyków. Zapominają oni, a przynajmniej usiłują zapomnieć, że właśnie Holandia i Belgia znacznie zyskały pod względem gospodarczym, kiedy wycofały się ze swych kolonii.

Gospodarka terytoriów zamorskich znajduje się w rękach kilku wielkich karteli. Companhia União Fabril i Champalimaud jedną nogą stoją w Portugalii, a drugą w Afryce. Państwo ma wprowadzić pewne korzyści z podatków i dywidend, ale faktem też jest, iż wielkie koncerny nigdy nie płaciły zbyt wygórowanych podatków, a dywidendy ograniczały się do stosunkowo małej grupy bogatych inwestorów. Eksport do terytoriów zamorskich nie odgrywa dziś dla Portugalii takiej roli, jak dawniej. Spadł on z 29,8 proc. w 1959 r. do 14,8 proc. w roku ubiegłym.

Cheć zachowania anachronicznego Imperium pociągała za sobą utrzymanie poważnej siły wojskowej. 40 proc. budżetu narodowego pochłaniała armia. Każdy dzień wojny przynosił nowe ofiary.

Rozwiązanie problemu kolonialnego pozwoliłoby na zaoszczędzenie wielomilionowych sum i wyrównało deficyt siły roboczej. Poprawie uległaby i dyplomatyczna pozycja kraju.

Oczywiście inne będzie rozwiązanie problemu kolonialnego dla Gwincii, częściowo już niepodległej, gdzie jest zaledwie 2,5 tys. Portugalczyków, a inne dla Mozambiku (200 tys. Portugalczyków) i Angoli (500 tys. Portugalczyków).

Czas pracuje na korzyść ruchów wywoleńczych. Rację mają przedstawiciele lewicy w nowym rządzie portugalskim, którzy pragną powołania rokowań.



**J**ESZCZE pół godziny temu tkwiliśmy po uszy w sprawach współczesnych. Siedzieliliśmy z prezesem Janowskiego oddziału ZBoWiD, Edwardem Królem, na rozległym tarasie restauracji, skąd rozciąga się piękny widok na zalew — czterdzieści hektarów wody, trzy wyspy, dziesięć ośrodków wypoczynkowych ukrytych w sosnowym lesie — i rozmawiali o dzisiejszym Janowie Lubelskim.

Ten zalew jest dowodem inicjatywy społecznej tutejszej ludności. Ale także wynikiem swobodnego współzawodnictwa. Pod koniec lat pięćdziesiątych wynikała z inicjatywa pomiędzy dwoma przedstawicielami Janowskiej władzy: sekretarz Komitetu Powiatowego zaważał się, że w szybkim czasie doprowadzi do otwarcia zalewu w miejscu, gdzie ciągnęły się błotniste łąki; przewodniczący PMRN — że zbuduje asfaltową szosę do Porytowego Wzgórza. No i na efekty nie trzeba było długo czekać. I zalew i szosa przynoszą chlubę inicjatorom.

A więc jeszcze przed pół godziną tkwiliśmy we współczesności i oto wystarczyło przejechanie tych trzydziestu kilometrów od zalewu do Wzgórza, ażeby czas cofnął się o lat trzydzieści. Przystanęliśmy przez chwilę na zakręcie szosy, w miejscu, gdzie odbija od niej błotnista, leśna droga do Momot. Na skraju lasu widać jeszcze zarosłe trawą rowy strzeleckie.

— O, w tym właśnie dołku leżałem, jak się zaczęła strzelanina — powiada Król. — Niemcy podchodzili od wsi Szklarnia, nie wiedzieli, że przygotowaliśmy im zasadzkę. Trochę inaczej tutaj wtedy było. Drzewa niższe i mniej krzaków. Leżałem w tym dołku, z „petearem”, a obok mnie, w drugim dołku, partyzant radziecki z „diegtiarem”. I cały czas się bałem, żeby nie zacząć za wcześnie strzelać. Z tej właśnie strony, z lasu od Momot, wyskoczyła tankietka i dopiero jak była dwadzieścia metrów od stanowiska, plunąłem z „peteera”...

Bój pod Szklarnią, 13 czerwca 1944 r., był jednym z działań wstępnych do mającej się rozegrać następnego dnia na pobliskim Porytowym Wzgórzu — największej bitwy partyzanckiej. Trwała ona bez przerwy szesnaście godzin, była wynikiem niemieckiej akcji „Sturmwind”, brało w niej udział trzydzieści tysięcy żołnierzy niemieckich i trzy tysiące partyzantów polskich i radzieckich.

Na wiosnę 1944 r. nastąpiło znaczne nasilenie działalności partyzanckiej w rejonie lasów parczewskich i Janowskich. W szybkim tempie rozrastały się oddziały Armii Ludowej, a fakt przejścia w tym czasie przez Bug licznych radzieckich oddziałów partyzanckich jeszcze bardziej wzmocnił siłę leśnej armii. Tylko w kwietniu 1944 r. partyzanci przeprowadzili na Lubelszczyźnie 133 akcje kolejowe, 30 akcji na kolumny samochodowe, zniszczyli 21 mostów drogowych. Można więc było mówić o prawdziwej ofensywie partyzanckiej. W drugiej połowie maja wykonano 94 akcje kolejowe i były dni, kiedy na lubelskich szlakach kolejowych stało po kilka unieruchomionych pociągów.

Zimą i wiosną 1944 — pisze Waldemar Tuszyński w książce „Lasy Janowskie i Puszcza Solska” — Armia Radziecka weszła na linię Kowel-Brody i wtedy Lubelszczyzna stała się bezpośrednim zapleczem niemieckiego frontu. W tej sytuacji uderzenia partyzanckie nabrały większego znaczenia wojskowego. Dezorganizowano już nie głębokie zaplecze, ale obszar operacyjny, jednostki frontowe, ich bazy, składy, komunikację. Nic więc dziwnego, że po częściowym ustabilizowaniu linii frontu Niemcy postanowili oczyścić zaplecze z partyzantów.

Niemcy przygotowali się do akcji „Sturmwind” bardzo dokładnie. Bezpośrednie dowodzenie spoczywało w rękach dowódcy Okręgu Wojskowego Generalnej Guberni, generała Haenicke. Zaangażowano siły 154 dywizji rezerwowej pod dowództwem gen. Altrichtera, 174 dywizji rezerwowej, którą dowodził gen. Eberhardt, oraz 213 dywizji ochrony pod dowództwem gen. Gieschena. Poza tym posiadano szereg jednostek pomocniczych — artylerię,

wozy pancerne, samoloty bombowe i rozpoznawcze z 4 Floty Powietrznej. W akcji „Sturmwind” brało również udział zgrupowanie kawalerii kalmuckiej mjr. Dolla — około 4 tysięcy jeźdźców.

Rozkaz szefa sztabu Okręgu Wojskowego GG na dzień 11 czerwca 1944 r. brzmiał: W walce z bandytami nie nakładać na wojska żadnych ograniczeń. Jeżeli wymaga tego wykonanie zadań bojowych, to odpadać wszelkie względy wobec kobiet i dzieci.

Otoczone ze wszystkich stron ogromną masą wojska, siły partyzanckie cofały się, staczając liczne potyczki z Niemcami. Postanowiono przesunąć się — pisze Tuszyński —

rze ciągnące się kilkaset metrów na kształt wąskiego, piaszczystego wału i porośnięte drzewami, obsadziły oddziały Brygady im. Ziemi Lubelskiej, Kunickiego i Jakowlewa. Na nich miały się skupić najbardziej zacięte ataki niemieckie. Na czele wspólnego dowództwa stali ppłk Prokopiuk i mjr Karaslow.

O 6 rano Niemcy rozpoczęli atak. Poranek wstał pogodny — wspomina jeden z uczestników walki — wiatru nie było, a słońce z samego rana zaczęło prażyć las i piaszczyste Wzgórze Porytowe.

Idę z prezesem Królem grzbietem wzgórza i próbuję sobie wyobrazić tamten poranek. Król, informując gdzie walczył który oddział, mimo-

ckm-ów typu „Maxim”, wsparci trzecią linią SS-owców i ogniem moździerzy, naciskali awionkami i samolotami tyralery. (...) Cekaemowci chronieni przez stalowe tarcze „Maximów” oapychają się od ziemi nogami, a cekaemowci idą w kierunku naszych pozycji. Na taki trick dobre były nasze rusznice ppanc., które przebijają tarcze i obciągają własowską na wskras.

Około godziny 18.00 na odcinku „Muchy” Niemcy... wykorzystali wiatr i lekko wiejący w stronę naszej linii obronnej, podpalił rozgrzany od słońca las sosnowy i zapalił świeże dymne. Oddychać nie było czym. Strzelac nie wiadomo gdzie i kiedy, bo nie mieliśmy orientacji, czy nieprzyjaciel rozpoczął szturm czy jeszcze nie. (...) Trzymając w jeany rękę bron, partyzanci drugą rzucali piasek, żeby stłumić ogień.

Niemcy nie zdobyli ani jednego ważniejszego punktu obrony. Późnym wieczorem cichną strzały, niemieckie wojska układają się do snu, a wtedy rusza milcząca partyzancka kolumna, zdecydowana za wszelką cenę wydostać się na wolność. Na czele partyzanci z AK-owskiej grupy „Konara”, którzy znają tutaj każdą ścieżkę. Wyjście z okrazenia powiodło się całkowicie. Mimo poniesionych na Porytowym Wzgórzu strat, żaden z oddziałów partyzanckich nie poszedł w rozsypek. Straty niemieckie były niewspółmiernie większe do partyzanckich.

# PORYTOWE

# WZGÓRZE

Mirosław Derecki

w kierunku wschodnim, w rejon Wzgórza Porytowego w Lasach Janowskich, gdzie istniały dogodne warunki do ewentualnej obrony. (...) (Przyjęta przez partyzantów bitwa) miała przede wszystkim stworzyć lepsze warunki do wyjścia z okrazenia, m. in. przez zmuszenie hitlerowców do rozwinięcia swych sił i wyczerpania ich w walce.

Siły partyzanckie zgrupowane na Porytowym Wzgórzu liczyły 3 tys. żołnierzy: 1200 Polaków i 1800 Rosjan. Trzon sił polskich stanowiły: 1 Brygada Armii Ludowej im. Ziemi Lubelskiej pod dowództwem „Wicka” — Ignacego Borkowskiego (w skład brygady wchodził słynny oddział „Przepiórki” — Edwarda Gronczewskiego) i Brygada im. Wandy Wasilewskiej, którą dowodził kpt. Stanisław Szelest. Wśród partyzantów radzieckich najsilniejsze były: oddział ppłk. Mikołaja Prokopiuka, Zgrupowanie im. Aleksandra Newskiego pod dowództwem majora Wiktora Karasiowa oraz Zgrupowanie im. N. S. Chruszczowa, którym dowodził major Włodzimierz Czepiga. Wielką siłą ognia dysponował również polsko-radziecki oddział im. J. Stalina pod dowództwem Polaka, kapitana Mikołaja Kunickiego, słynnego „Muchy”.

Niemcy byli spokojni o przebieg akcji. Właśnie w bitwie pod Szklarnią — być może w tankietce rozbitej celnym strzałem Edwarda Króla z oddziału „Przepiórki” — zdobyto oficcerski mapnik z rozkazem określającym czynności wojsk niemieckich w dniu 14 czerwca 1944 r. tzn. w dniu ataku na Porytowe Wzgórze. Rozkaz brzmiał następująco:

Pkt. 1. Pobudka o godz. 4.00, kawa o godz. 4.30. Przygotowanie się na godz. 5.00 do wymarszu w kierunku pierścienia, w którym znajduje się banda (tj. partyzanci — przyp. M. D.). Szturm na partyzantów — 5.30.

Pkt. 2. Całkowite zlikwidowanie bandy do godz. 9.30. Zbieranie trofeów i liczenie trupów do godz. 11.30. Zbiórka na uroczysty obiad wszystkich, którzy wykazali się bohaterstwem i odwagą w likwidowaniu band, o godz. 12.30. Po czym nastąpi wręczenie krzyży i medali. (...)

Partyzanci postanowili bronić się na linii okrągłej, o średnicy 1,5 km. Przez centrum kręgu przepływała rzeczka Branew i nad jej brzegami, na błotnistych łąkach, zgrupowano partyzancki tabor. Porytowe Wzgó-



Jeden z grobów na cmentarzu poległych partyzantów

Fot. Archiwum

chodem wskazuje na postrzelane drzewa — do tej pory kora nie zdołała zalać okaleczeń — i ciasne rowy strzeleckie, które żołnierze wyrzuli nożami i dłońmi. W takim rowie, sięgającym szyi, partyzant tkwił jak w worku. Kiedy został zabity, okop stawał się zarazem jego grobem.

Ze wzgórza — doskonały wgląd w porośnięte krzakami i drzewami przedpole. Dzisiaj okalające Porytowe Wzgórze błota znacznie podeschły, ale jeszcze teraz widać, ile trudności mieli Niemcy z przedostaniem się przez nie przed trzydziestu laty. Zresztą jeszcze stosunkowo niedawno, zanim do Wzgórza podciągnięto szosę, przy najmniejszym deszczu leśne dukty przemieniały się w topiel. Kiedy deszczowa pora zbiegała się z uroczystościami w rocznicę bitwy, wzdłuż szlaku wiodącego do Porytowego Wzgórza rozstawiano traktory z pobliskich PGR-ów w celu wyciągnięcia uwięzionych w błocie autokarów.

Ale 14 czerwca 1944 r. wody nie było na lekarstwo. Walczono w ogromnych kłębach kurzu wznoszonego przez wybuchy pocisków. Kiedy zabrakło wody w chłodnicach cekaemów, partyzanci oddawali moc, mocem gazono dymiące od żaru nakładki karabinów.

Zażarte walki na Wzgórzu Porytowym trwały od wczesnego ranka do późnych godzin wieczornych. O tym, jak wyglądały niektóre z nich, niech świadczą dwa fragmenty wspomnień kpt. Michała Kunickiego — „Muchy”:

(...) Do szturmów ruszają pijani własowcy. Wyposażeni w dużą ilość

JESZCZE kilka chybottliwych mostków na Branwi, jeszcze tor kolejki wąskotorowej oiegnący piaszczystym nasypem, polanka, na której zginął major Czepiga, i oto zza drzew wyłania się rozległa polana, ograniczona u jednego końca rzędami prostych, lastrkowych krzyży. To cmentarz poległych na Porytowym Wzgórzu. Dawniej zwłoki zabitych partyzantów leżały rozrzucone po całym lesie i oddział „Przepiórki”, który wrócił kilkanaście dni po bitwie w te strony, grzebał kolegow w miejscu, na którym padli. Dopiero po latach wybudowano nowy cmentarz.

Na polanie cisza. Przed chwilą opuściły ją ekipy budowlane, wznoszące poleżny postument pod pomnik partyzantów. Za kilka dni przyjadą ekipy „Mostostalu”, rozpocznie się montaż. Trzynastometrowy, aluminiowy „wybuch” wzbije się ponad wierzchołki świerków, u jego podstawy ruszy do ataku pięciu partyzantów odłanych z brązu w jednej ze śląskich hut.

Co kilka dni gości na Porytowym Wzgórzu autor projektu pomnika, znany krakowski rzeźbiarz Bronisław Chromy, który zwyciężył w międzynarodowym konkursie rozpiętym na ten pomnik.

Pomysł budowy pomnika zrodził się już wiele lat temu wśród społeczeństwa Janowskiego i kiedy komitet budowy, na którego czele stoi Edward Król, rozesłał apel nawołujący do zbierania pieniędzy, okoliczna ludność hojnie sypnęła groszem.

Król prawie codziennie bywa na Porytowym Wzgórzu. Nie przepuści żadnej okazji, aby nie oprowadzić wycieczki przybyłej nieraz z drugiego końca Polski, czasem w jednym z uczestników rozpoznawczego koleżę z bitwy. Jest w tej chwili jedynym uczestnikiem bitwy na Porytowym Wzgórzu, który od lat stale mieszka w pobliżu miejsca historycznego wydarzenia.

Wkrótce na Porytowym Wzgórzu odbędą się centralne uroczystości organizowane przez ZG ZBoWiD i lubelskie władze wojewódzkie. Wtedy też nastąpi odsłonięcie pomnika.

Więc już zawczasu dawny partyzant „Koc” z oddziału „Przepiórki” lustruje okoliczne tereny gospodarskim okiem i nie jestem pewien, ile w takiej chwili miejsca przeznaczają na wspomnienia, a ile na obmyślenie rzeczy bardziej realnej: zorganizowanie na Porytowym Wzgórzu partyzanckiego skansenu i muzeum walk partyzanckich.

Bo pomnik pomnikiem, ale las coraz bardziej zarasta stanowiska partyzantów, a tablice, informujące, gdzie jaki oddział walczył, szarzeją i pęcznią pod naporem wilgoci.



**N**AJPIERW był festiwal zespołów młodzieżowych w Swidniku, potem przypadkowo spotkany znajomy usiłował prosić mnie o wystrząśnięcie jakiegokolwiek sali na próby muzyczne, potem wręcz przerażony rozmiarami gitarowego muzykowania ruszyłem — zapotrzony w adreś — po mieszkaniach, piwnicach, klubkach dzielnicowych, w których grują na co dzień interesujący mnie młodzi ludzie.

Podstawa była, należało tylko odszukać przykłady zasadę potwierdzające; wbrew pozorom nie było to trudne zadanie bo sytuacja nie zmieniła się od lat. Od lat — gdy pierwsze wrzaski Czernego-Czarnych i potem Niebiesko-Czarnych ogłuszyły cały kraj w imię potencjalnego idolołowania, za arcytrudny instrument jakim jest gitara, chwyciły tyśiące rak Pocieszająca, a jednak z drugiej strony niepokojąca informacja o tyśiącach, setkach tyśiący, sprzedawanych gitar amaterializowała się w postaci nie mniejszej liczby tzw. „dzikich” zespołów mocnego uderzenia.

## POWODY

To dobrze, że wielu młodych ludzi z talentem muzycznym zajęło się graniem na gitarach, nie będą waleśać się po ulicach i wystawać pod kioskami z piwem — tak brzmiały uspokajające wypowiedzi przeciętnych ludzi. Dlaczego młodzież ogarnięta została przez obłąd, podobną zbleneraniu znaczków manię? — pytali socjologowie. Takie pytanie, pozabawione socjologicznych ambicji, zadawałem kilkunastu osobom.

— Jak by tu powiedzieć, wszyscy grali to i ja spróbowałem. Grałem kiedyś w ognisku muzycznym na skrzyżkach, co tam pozostało z wiadomości teoretycznych, trochę wyczytałem sam, zresztą ta muzyka opiera się na tak prymitywnych założeniach, że nie warto nawet specjalnie uczyć się teorii. Wzory były, bo płyt coraz więcej, radio nadaje mnóstwo tego. A po co zacząłem grać? Czy ja wiem, wszyscy nam wmawiali, że chcemy być artystami na scenie, pokazywać się w telewizji, nagrywać płyty a to nie jest wcale to. Czy nie można zrozumieć człowieka, którego coś dusi za gardło jak słucha muzyki? A oczywiście, ten typ muzyki wypływa z braku umiejętności, ochoty na łatwiznę (zresztą uzasadnionej) i mody, przede wszystkim mody. Środki masowego przekazu doprowadziły do takiej fascynacji beatem czy jazzem, że trudno im się oprzeć. Kształtowany jest typ idola, któremu w życiu wszystko się udało, który jak Niemen jeździ białym „mercedesem”, który zbija krocie na płytach i koncertach. W szkołach uczniowie zastanawiają się nad modelem współczesnego bohatera, a czy właśnie Stan Borys lub inny piosenkarz nie jest tym właśnie wzorcem do naśladowania?

Inny członek klubowego zespołu: — To jest trudne do określenia, nigdy się nad tym nie zastanawiałem, dlaczego gram. Dla samej przyjemności — na pewno. Oczywiście, dla pieniędzy też, tylko że wtedy przestaje to być przyjemnością, a staje się nudnym zajęciem, odwalaniem chaltury. Dużo zespołów tak zrobiło, może wtedy jak zrozumieć, że nigdy nie dogonia tych co na płytach. Poza tym trzeba mieć dużo wytrwałości, żeby nie zalać się trudnościami ze sprzętem, instrumentami, salą na próby idiotycznymi żądaniami kierownictwa klubów i takich sal. Ale jako pierwszy

powód mogę podać za siebie i za kolegów to, że każdy chciałby być znanym piosenkarzem czy muzykiem. Nieprawda, że my gonimy za pieniędzmi, zresztą proszę zapytać jakie większość z muzykujących ma z tego zarobki? No, chyba, że grają w knajpie albo pod Lublinem.

## PRAKTYKA

Tutaj nie mogę oddać głosu moim rozmówcom. Muszę posłużyć się swoimi

mentalne i trochę piosenek wykonywanych przez domorośle piosenkarki, dziewczyny kilkunastoletnie a już przyprowadzone nieznośną manierą podpatrzoną na koncertach gwiazd estrady. Muzyczka błada, piosenkareczki infantylnym gestem przeprowadzają operację pt. Olimpia stars.

Przeciętne wykształcenie muzyczne? Ten problem nie obchodzi tutaj nikogo, na trzydziści sześć osób zanotowanych w zeszytach zaledwie czterech chłopaków ma dwie, trzy klasy ogniska muzyczne-

senkarka wydeptująca metr kwadratu wy estrady przy mikrofonie nie zdobyła się na uczeszczenie do szkoły muzycznej, bo po pierwsze: łatwizna, jaką nieświeżość — w roli dzielnicy gwiazdy, sezonowego idola jednej ulicy. A muzyczka, ta ślepa, infantylna muzyczka dalej pozostanie marzeniem ścietej głowy o jutrzejszym, smacznym obiedzie.

## SKUTKI

To dziwne, że w chwili, kiedy tak dużo pisze się o muzyce młodzieżowej, gdy strony tekstów poświęca się recenzjom z występów takich czy innych zespołów, sprawozdaniom z festiwali, dorocznym spędów i wyścigów po jakimś tam nagrodę, tak mało jednocześnie pisze się o życiu tych ludzi. Nie, oczywiście, o tym co lubią, a czego nie mogą znieść, czy o tym co jedzą na śniadanie, ale o wpływie artystycznego albo — jak kto woli — pseudoartystycznego działania na zmianę ich osobowości, na psychiczne zmiany, których powodów już dosyć dużo padło w tym tekście?

Różnie na to patrzę. Dwie postawy: bądź dostrzegają skutki takiej pracy i swoją wielką „niemożność”, bądź uważają to za wymysł socjologów, którzy szukają — jak mi powiedział jeden z muzyków — model żywych dla swoich spekulacji. W pierwszym przypadku to jest tragedia, w drugim zaś wielkie samouspokojenie, samorzeczenie z nadciągających kompleksów.

Andrzej R.: — Zgadzałem się z czymś takim, jak „choroba kulis”. To jest wtedy, gdy wygrało się już wszystko, trzeba iść do pracy po technikum, a w nocy śnią się reflektory skierowane na ciebie i wrażenie, że w krzesłach siedzi kilkadziesiąt osób. Nie znam nikogo, kto by się temu oparł. Sam miałem przerwę w granu, dwuletnią. Nigdy nie wiedziałem, co to jest trema, teraz gdy zagrałem na wieczorku tanecznym coś się we mnie obudziło i przestraszyłem się. Ale jak zaświetlił się reflektor — poczułem, że rosne.

Teresa W.: — Bzdura, to wymyślił pan i panu podobni, żeby mieć o czym pisać. Szukacie czegoś, czego nie ma. Nigdy nie marzyłam o tym, żeby być gwiazdą.

— Ile ma pani lat (przepraszam za niedyskrecję)?

— 23

— Jak ze szkołą?

— Skończyłam szkołę zawodową, ale nie pracuję (wypredza moje pytania, tu zarobię na swoje potrzeby, zresztą rodzicom dobrze się powodzi...)

Uogólnione dwie postawy. Ale postawy autentyczne, może wydobyte z szeregu pytań i odpowiedzi, przejawiające przez oderwanie od kontekstu, może tak schematycznie, że aż nierozczywiste, ale postawy — szablony, w które wpisane można Jasia Z., Krzysztofa M., Halinę, Mariannę, Tadeusza...

P.S. Poruszyłem a może tylko zarysowałem tu parę problemów, o które się starłem w czasie kilkunastu wędrowki, które wypłynęły z kilkulatniej obserwacji tego środowiska. Może zainteresowani czytelnicy: piosenkarze, muzycy, sympatycy muzyki młodzieżowej zechcą w listach do redakcji wypowiedzieć się szerzej na ten temat?

# SEZONOWY IDOL JEDNEJ ULICY

Jacek Grün



własnymi spostrzeżeniami! Nasłuchałem się tej muzyki sporo, wszędzie gdzie mnie zawiodł notes z adresami było coś grane, czy to w kawiarni młodzieżowej, czy w piwnicy willi stojącej na uboczu, za miastem. Skład instrumentów typowy dla lat sześćdziesiątych: dwie lub trzy gitary, perkusja, czasem organy (fortepian za drogi i stosunkowo niewygodny do transportu). Repertuar także typowy: przeboje instrumentalne, które mają sens o tyle, o ile brzmienie zespołu dalekie jest od tego, jakim raczonno mnie przez kilkanaście godzin; przeboje przerwane (z braku wokalisty) na instru-

go i jeden pianista ukończone liceum muzyczne. Inna sprawa, że wielu z nich talentem przerasta absolwentów wyższych szkół artystycznych. Ale tylko talentem.

Są zaniedban. Nad takimi ludźmi toczą się dyskusje w pedagogicznym gronie muzyków. Jak wydobyć ich z ciemnoty muzycznej, jak pokazać, że ich świat kończący się na rewelacyjnym zastosowaniu akordu nonowego nie jest awangardowym, a tylko prymitywnym? Tylko po co łamać sobie głowę? Prawda jest smutna, ale tak zwykle z prawdą bywa. Żaden z tych gitarzystów NIGDY nie wróci do rzetelnej nauki, żadna pio-

Dokończenie ze str. 1

stała Troja, trawkę z pola Fingala, kamień z grobu Cyda i Xymeny oraz równie ciekawe rzeczy, po których nie ma dziś, niestety, śladu. Trudno się zatem dziwić, że złodzieje pozbawieni możliwości wyboru ukradli dwie wschodnie szable, zdobiące wystawę czasową w Domku Gotyckim, przysłane przez Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Kontakt z zabytkami wzniesił w nich ogień pożądania tak silny, że następnego dnia jeden z nich ponownie odwiedził muzeum, zabierając godny pałasz z XVII w. Wartość przywłaszczonych przedmiotów oszacowano na 25 tys. złotych, co wskazuje, że rzeczoznawcy posłużyli się cennikiem albo państwowym, albo taktycznym. Za siedemnastowieczną karabelę kolekcjonerzy płać dziś 100 tyśiący, za zwykłą szablę ułańską — 10 tyśiący.

No i po tych kradzieżach ukazały się w prasie lubelskiej artykuły i notatki, słusznie podnoszące zasługi Milicji Obywatelskiej, która migiem ujęła amatorskich przestępców, odzyskując zarazem zabytki. Żaden z autorów owych enuncjacji nie zapytał jednak, jakim to cudem mogło dojść do kradzieży przedmiotów spoczywających w miejscu strzeżonym, opasanym grubym murem etc. To milczenie wokół tematu wynikało zapewne z głębokiego przeświadczenia, że złodziei mamy dobrych i nic nie uchroni przed ich inicjatywą. Milicję mamy przecież jeszcze lepszą, więc w ostatecznym rozrachunku społeczeństwo wychodzi na swoje. Koniec sprawy, cieszymy się z odzyskanych wartości.

Kradzieże w Lublinie i Puławach zbiegły się w czasie z uprowadzeniem wybitnych dzieł malarstwa z Muzeum Narodowego w Gdańsku i ze skandalizującą sprawą obrazu El Greca z Kosowa, lekceważonego długo przez znakomite autorytety, które nie mogły przystać, że oto trafił się nam oryginał. Fakty te doczekały się obszernej dokumentacji prasowej, spowiadali się również pracownicy muzeów, którzy przebakowali, że stan zabezpieczenia zbiorów jest problematyczny. Wcześniejsza kontrola NIK-u wykazała, że mamy do czynienia z sytuacją alarmującą: złodzieje, ale równie groźne anobium, kołatek i wilgoć bez większych przeszkód atakują muzealia. A poza tym w wielu placówkach

panuje bałagan, sporo zastrzeżeń budzi inwentaryzacja zbiorów, sprzyjająca „cichym” kradzieżom dzieł sztuki, wykrywanych po wielu latach, a więc tylko dla satysfakcji statystycznej.

Sądząc po ówczesnych sprawozdaniach, w połowie lat sześćdziesiątych wszystko było jeszcze w porządku, muzea pracowały dobrze i w znośnych warunkach, obrazów itp. nie nie podgryzało. Gdyby nie złodzieje, zarysowane w owym czasie wyobrażenie o sytuacji materialnej i organizacyjnej polskiego muzealnictwa — wyobrażenie w znacznej części fałszywe — funkcjonowałoby dalej. Tymczasem jednak wokół muzeów coraz częściej zaczęli krzątać się rabusie. To właśnie oni zwrócili uwagę opinii publicznej, organów ścigania i kontroli na to, co naprawdę dzieje się w stylowych salach, regulaminowo domagających się szacunku i czysy. Niech już będę cyniczny: gdyby złodziejstwo wcześniej dobrało się do zasobów kultury narodowej, rachunek strat byłby niższy od tego, który obecnie przychodzi podliczać — na oko, bo nikt nie wie, ile dokładnie wynoszą ubytki, mówiąc językiem konserwatorów malarstwa. „Niestety”, krajowo-międzynarodowa „wymiana” ikon, rzeźb, obrazów barokowych, starodruków zaczęła się na dobre gdzieś pod koniec lat pięćdziesiątych, a sporadyczne wpadki przemysłników tylko na krótko podniecały opinię publiczną, która na dodatek wiązała wówczas z pojęciem dzieła sztuki wartości dość abstrakcyjne. Handlarze działali skutecznie, ponieważ ani celnicy, ani milicjanci nie dysponowali jeszcze odpowiednim doświadczeniem w ściganiu tego typu przestępstw, a wielu ludzi, którzy z urzędu lub moralno-zawodowego wykształcenia powinni chronić dzieła kultury, postępowało „wręcz przeciwnie”. Z biegiem czasu handelek rozwinął się na całkiem przyzwoitą skalę, a bo to granice postwierano, a bo to, a bo tamto, o czym jeszcze będzie mowa.

Obecnie kradzieże są częstsze i łatwiej wykrywalne, albowiem do spółki przystąpiła hołota zbieracka, miłośnicy „szybkiego półlitra”. Nie mając pretensji do mlana intelektualistów, osobnicy ci czytują przecież gazety, z których dowiadują się, że np. za stara chińska moneta można otrzymać 6500 marek RFN, że jakiś garnek etruski wart jest

# Muzealna

milion dolarów, a obraz pt. „Śmierć Akteona”, namalowany przez niejakiego Tycjana, kosztuje 4 miliony dolarów. Panowie ci kradną jednak z reguły to, co się świeci — złoto, srebro — niemniej uczęszczają w zbożnym dziele rozwijania wewnętrznego rynku sztuki, którego do niedawna prawie w ogóle nie było!

Nie mieliśmy tego rynku, mamy go. W „Kurierze Lubelskim” z 27 maja br. ukazało się ogłoszenie następującej treści: „Obraz, nawet zniszczony — kupię...” Jest to inserat absolutnie unikalny w skali kraju, bardzo możliwe, że pierwszy w prasie powojennego trzydziestolecia. Sygnuje on to samo zjawisko, które pod postacią „targów staroci” ściąga ludzi do pomieszczeń Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie, gdzie co pewien czas odbywa się wymiana, kupno i sprzedaż samowarów, sztyletów, medali, lamp naftowych, różnego rodzaju bibelotów. Wyroby starego rękodziela, unikalne dziś przedmioty produkcji przemysłowej, dzieła sztuki — to wszystko zyskuje w świadomości społecznej cechy konkretnej wartości, godnej zabiegów i pieniędzy. Ta postawa — nie do pomyślenia kilka czy kilkanaście lat temu — testuje charakter przemian, jakie zachodzą współcześnie w sposobie myślenia naszej zbiorowości. Powód do satysfakcji, ale również do niepokojów.

Dzisiejsi handlarze dużego formatu są raczej nieznanymi, działają po kryjomu. Drobniejszych animatorów rynku sztuki i „starożytności” nazywa się kolekcjonerami. Zwykle traktowani przez różne instytucje kulturalne, poruszają się na ogół w ścisłej legalności. Hobbystyczne zbieranie zabytkowych przedmiotów czy handel nimi — same w sobie nie są to czynności naganne i implikujące przestępstwa. Niemniej musimy zdać sobie jasno sprawę, że wraz z rozbudową wspomnianego rynku poszerzy się jego nielegalny margines.

Spryżać mu będzie postępujący rozwój kontaktów zagranicznych naszych obywateli oraz coraz liczniejsze wizyty cudzoziemców, którzy niejednokrotnie przyjeżdżają do Polski wyłącznie w celach, mówiąc ogólnie, komercyjno-artystycznych. Ostatnio znów zatrzymano na granicy kilka ikon, wędrujących na Zachód. Ten margines rozszerzy się



Wygląda na to, jakby tegoroczne Dni Lublina miały być zaskoczeniem. Najbardziej bowiem zainteresowani — mieszkańcy miasta dowiedzieli się o nich dostojnie dwa dni przed faktem. Działanie przez zaskoczenie daje często dobre efekty. Ale to, co jest dobre np. na boisku piłkarskim, w tym przypadku było niezrozumiałe, a nawet szkodliwe.

**O**RGANIZATORZY samych Dni, jak również imprez, wchodzących w ich program, zapewne wiedzieli o wszystkim na czas i włożyli dużo pracy w przygotowanie. Nie wystarczy jednak wyprodukować coś dobrego, zwłaszcza gdy to coś ma żywo krótkotrwały, rzecz polega na odpowiednim sprzedaniu, a więc przede wszystkim reklamie. To prawda, że taki czy inny wydział Urzędu Miejskiego odfajkował jeszcze jedną pozycję, że jedno lub drugie przedsiębiorstwo wymyśliło coś oryginalnego, aby zwiększyć swoje obroty handlowe, ale przecież nie dla samych organizatorów robi się całą imprezę, nie dla fajek w sprawozdaniach i obrotów handlowych. To ma być święto dla olbrzymiej większości mieszkańców, święto przyjemne i radosne, na które się czeka. Jego istotnym celem ma być silniejsze związanie uczuciowe mieszkańców z tradycją i teraźniejszością miasta, z jego dorobkiem i kłopotami, uwydatnienie piękna i usunięcie części zaniedbań itd.

W chwili, gdy dzienniki doniosły, że za 48 godzin rozpoczyna się Dni Lublina, znakomita większość mieszkańców miała już bardzo skonkretyzowane plany: były to przecież dwa kolejne wolne od pracy dni i czas trzeba było sobie z góry ułożyć. Ilu ludzi, zwłaszcza w pogodną sobotę, zrezygnowało ze swoich planów ze względu na Dni?

I dlaczego w ogóle zaproponowano im taki niefortunny wybór? Tak się złożyło, że i ja miałem już umówione spotkanie, jednego dnia w Nałęczowie, drugiego zaś w Białymstoku i w ostatniej chwili nie mogłem ich odwołać. Ale zarówno w sobotę na szosie do Nałęczowa i w samym uzdrowisku, jak i w niedzielę do Białej Podlaskiej aż roiło się od samochodów i autokarów przepelnionych lubliniakami.

Ze sprawozdań prasowych wynikało niedwuznacznie, że szalenie mało procent mieszkańców miasta brał udział w Dniach. W dodatku w sobotę pokazała część stanowiąca mieszkańcy okolicznych powiatów, którzy przyjechali do Lublina nie z powodu święta, ale — korzystając

# BARWY DNI I ROK „BARW”

Jerzy Dostatni

z wolnego dnia — po prostu na zakupy. A w tym samym czasie nad zalewem zemborzyckim przebywało około 10 tysięcy lublinian. Więcej niż na wszystkich imprezach w mieście razem wziętych. A przecież nad zalewem nic, dosłownie nic się nie działo, jedynym magnesem było świeże powietrze. Tak na marginesie — czy w przyszłym roku nie warto nad już częściowo urządzony zalew przenieść niektórych imprez z murów miasta?

Zaskoczenie zapewne spowodowało także, że ani Teatr Dramatyczny, ani Operetka, ani lasa na pieniądże Estrada nie zorganizowały żadnego dodatkowego spektaklu, jeżeli nie liczyć indywidualnych występów grupki aktorów. W Teatrze była wprawdzie jakaś tajemnicza „Impreza z okazji Dni Lublina” — ale co to miało być, publicznie nie ujawniono. A kto już był zaskoczony samym terminem, nie chciał być przecież dodatkowo zaskoczony tajemniczą „imprezą”. Nie popisali się również sportowcy, bo poza tym, co przewidywały od dawna ustalone kalendarzyki różnych lig i mistrzostw, oglądaliśmy tylko jedno pseudopilkarskie spotkanie dwudziestu kilku pańienek dobrej woli. O tymże

„meczu” sprawozdawca „Kuriera” pisał potem: „Dziewczęta próbowały ganiać za piłką, która najczęściej sprawiała im sporo kłopotu, kiedy trzeba było ją zatrzymać lub podać

Szczycimy się, że Lublin jest miastem młodym, przężym. I jest takim rzeczywiście. W okresie trzydziestolecia liczba jego mieszkańców zwiększyła się prawie trzykrotnie i to przede wszystkim dzięki migracji ludzi młodych ze wsi. Przybyszów nie przyciągała jednak miłość do miasta, ale całkiem po prostu możliwość otrzymania pracy i mieszkania, co się zresztą z reguły udawało. I to wszystko jest normalne.

Ale równocześnie ze wzrostem miasta nie następowała integracja jego mieszkańców. Po prostu nikt nad tym nie pracował. Początki tego procesu można było obserwować chyba tylko w jednej dzielnicy — w osiedlu mickiewiczowskim LSM. Gdy jednak zaczęły powstawać następne osiedla, do których ludzie sprowadzali się nie dlatego, że właśnie tam chcieli mieszkać, ale dlatego, że tylko tam dano im szansę otrzymania mieszkania, tempo integracji znacznie się osłabiło. I tylko pięknie pracującemu klubowi LSM możemy zawdzięczać, że nie zanikło zupełnie.

Ale czy mieszkańcy Bronowic, Tatar, Kalinowszczyzny, nawet starej Dziesiątej czują się rzeczywiście w pełni lubliniakami? Wielu z nich w pierwszej chwili odpowie z niejakim oburzeniem: naturalnie, czujemy się! Czy tak jest rzeczywiście? Czy znają historię miasta, chociażby czwartą część jego zabytków, czy spacerowali po Starym Mieście dla prostej przyjemności, czy poza wizytami u krewnych lub znajomych zwiedzali inne dzielnice? Czy oburzają się, gdy ktoś z zewnątrz zacznie narzekać na coś, co mu się w naszym mieście nie podoba? Ilu ludzi uważających się za lubliniaków, przeczytało chociażby połowę tego, co napisał Czechowicz, wysłuchało połowy tego, co skomponował Wieniawski? Czy napisano i śpiewano chociażby jedną piosenką o Lublinie, która utrwaliła się w pamięci?

Poza nielicznymi i sporadycznymi przypadkami były tylko dwie znaczące imprezy, które w jakiś sposób poszerzały krąg miłośników Lublina. Przed laty red. Romuald Wieniawski ze „Sztandaru Ludu” zorganizował i prowadził w „Norze” spotkania z ciekawymi ludźmi miasta. I ostatnio cykl odczytów — to oficjalna nazwa, bo w rzeczywistości to były arcyciekawie prowadzone gawędy — pod tytułem „Barwy Lublina” w Białej Sali Miejskiego Domu Kultury.

Dokończenie na str. 8-9

## melancholia

na pewno, nie ludźmy się, także z powodów już wspomnianych mimochodem: przeciętny obywatel wie dobrze, że najlepszą lokatą pieniędzy jest np. szafelka dziadzia, obraz, stary mebel, świętek przydrożny (przeniesiony do salonu). Nie wyprowadzamy przecież wniosku, że czeka nas czarna rozpacz, rozbój muzealny w biały dzień, smutne zjawisko ograbiania staruszków z ozdobnych detali metaloplastycznych...

Ostatnie wypadki mogą przyspieszyć opracowanie skutecznego systemu ochrony fizycznej muzeów i dzieł sztuki znajdujących się w innych miejscach. Jeden ze specjalistów (z Lublina) śleczy właśnie nad odpowiednim informatorem — podręcznikiem dla celników, redagowanym z myślą o praktyce granicznej. Milicja Obywatelska intensywnie kształci kadry do zwalczania przestępstw artystyczno-zabytkowych. Znający historię powiedzą, że właściwie to jest tak, jak zwykle bywało po różnych aferach w przeszłości. Nie, zaostrożenie problemu uruchomiło bardziej energiczne i wszechstronne działania, opracowano np. raport o stanie zabezpieczenia zbiorów muzealnictwa.

Ważniejsze wydają się wątpliwości innego rodzaju. Powiedzmy, że przy pomocy Japończyków zamienimy nasze muzea w twierdze elektroniczne, że uda się nawet pozyskać etaty dla odpowiednio szkolonych psów, które podobno biją na głowę urządzenia techniczne, czuwające nad bezpieczeństwem obiektów. Czy w jakimkolwiek stopniu wpłynie to na warunki egzystencji samych eksponatów, czy poprawi ich zdrowie?

Rosnąca aktywność złodziei dzieł sztuki jest w gruncie rzeczy niewinnym drażnieniem przedmiotu — wobec destrukcyjnej, faktycznie groźnej i zmasowanej działalności niektórych prostych czynników fizycznych, no i może administracyjnych. Chodzi o warunki, w jakich przechowywane są obrazy, rzeźby, tkaniny, meble i wyroby rzemiosła artystycznego. Są to warunki albo złe, albo fatalne.

Z 380 muzeów polskich tylko nieliczne dysponują odpowiednio obszernymi i dobrze urządzonymi magazynami. Muzeum Okręgowe w Lublinie nale-

ży do typowych, czyli nie posiada żadnego przyzwoitego pomieszczenia, a strych i inne prowizorki wypełnia ponad 32 tysiące płócien malarskich, grafik, rzeźb, zabytków etnograficznych i niemal 40 tysięcy numizmatów. W tym ciasnym labiryncie trudno się poruszać, a sprawy utrzymania odpowiedniej wilgotności i temperatury powietrza należą do absolutnie abstrakcyjnych. Ekspozyty niszczej, farba kruszy się na obrazach do tego stopnia, że identyfikacja niektórych przysparza sporo kłopotów. Straty wielkie, jak wielkie — okaże się w najbliższej przyszłości, po przejęciu przez placówkę odbudowanego skrzydła zamku.

Kto winien, kogo oskarżyć? Nerwowy klimat lat niegdysiejszych, latający braki pozornym optymizmem sprawozdań? Może. Czy też szukać źródeł w ówczesnej niezamowności społecznej? Zjawisko jest na tyle powszechne, że domaga się generalnej interpretacji, przede wszystkim jednak — zdecydowanej reformy. Albowiem sytuacja lubelską odnajdziemy w Rzeszowie, Białymstoku, w Krakowie i Gdańsku, nie mówiąc o muzeach małych, regionalnych, posiadających jednak ciekawe i wartościowe nierzadko zbiory. Tak jest w Tomaszowie Lub., Łukowie (gdzie Wyczółkowski wisi w ciemni fotograficznej, w pobliżu wanielki z wywoływaczem!), Biłgoraju (8728 eksponatów w obskurnym magazynie), w Zamościu. W podobnych warunkach przechowywane są z konieczności zbiory Muzeum Wsi Lubelskiej, na dodatek rozsiane w różnych punktach województwa. Uzyskanie odpowiedniej powierzchni magazynowej przez muzea jest właściwie nierealne, albowiem na liście wartości społecznych placówki te zajmują jedno z ostatnich miejsc, a tym samym muszą ustępować innym, početnějszym, które także cyhają na deficytowe magazyny. Tymczasem problem rośnie, zaostraża się z roku na rok, proporcjonalnie do mnożącego się drogą zakupów majątku muzealnego. W 1973 r. Muzeum Okręgowe pozyskało 1227 eksponatów, Muzeum Wsi Lubelskiej — 397, muzea regionalne w Białej Podlaskiej — 215, w Łukowie — 99, w Chełmie — 79 etc.

Zgodnie z odpowiednią ustawą, jednym z czołowych zadań muzealnictwa jest troska o utrzyma-

nie dzieł sztuki w dobrym stanie. Na tę funkcję wskazuje się najchętniej wówczas, kiedy zarzuca się np. placówkom okręgowym brak działalności naukowej sensu stricto, rutyniarstwo, zwykłe leniństwo; zarzuty tego rodzaju posiadają nierzadko ręce i nogi. — My nie od nauki — mawiają pracownicy muzeów — lecz od troski. Tymczasem prawdą jest, że niejedno dzieło sztuki popadło w ruinę z powodu trafienia pod dach muzealny. Wspomniane warunki przechowywania obrazów etc., to jedno źródło zniszczeń. Drugie wiąże się bezpośrednio z konserwacją eksponatów. W Muzeum Okręgowym w Lublinie pracuje pięćoro konserwatorów zabytków ruchomych, na których czeka ponad 73 tysiące różnych przedmiotów artystycznych i dobrodziejstwo inwentarza, które znajdują się w placówkach regionalnych, albowiem żadna z nich nie dysponuje takim specjalistą. Powiedzmy nawet, że bieżącej kontroli i okazjonalnej interwencji konserwatorskiej wymaga tylko jedna trzecia zbiorów lubelskich... Ci ludzie są w zasadzie bezradni.

W muzeach regionalnych nie uswiadcysz konserwatora, trudno spotkać historyków sztuki. Łatwiej o chodzące niekompetencje, wsparte na dobrej woli, co wbrew pozorom pozwala na długotrwałe spacery. Ponadto personel owych instytucji kulturalnych bywa z reguły nieliczny: w Biłgoraju (10 195 eksponatów!), Łęcznej i Tomaszowie pracują po 3 osoby, w Zamościu — 7, w Nałęczowie (Prusa) — prawie 3. Taka oto sytuacja kadrowa powoduje, że inwentaryzacja zbiorów i opracowywanie kart katalogu naukowego ciągną się latami, bez wyraźniejszych perspektyw zakończenia całej sprawy, co dotyczy również Muzeum Okręgowego, gdzie jeszcze najlepiej pod tym względem prezentuje się dział etnografii. A jest to problem pierwotny, albowiem pełna inwentaryzacja (z katalogiem) nie tylko umożliwia dobrą orientację i racjonalne wartościowanie stanu posiadania, lecz pośrednio chroni także eksponaty przed zniszczeniem i utrudnia puszczenie w obieg dzieł skradzionych...

Muzealnictwo wymaga zasadniczej reformy materialno-organizacyjnej oraz kadrowej...

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 5





Aleksander Gardawski

BYŁ człowiekiem niezwykłym. Zgodni co do tego są zarówno Jego przyjaciele, jak też nieliczne grono tych, którzy Go nie darzyli sympatią. Niezwykły był w kontaktach osobistych, w stosunkach z kolegami, przyjaciółmi, studentami. Nie znam wśród naukowców dużego formatu człowieka bardziej bezpośredniego od Niego, pozostającego na stopie koleżeńskości z ludźmi znacznie młodszymi. Reprezentował również niezwykle typ badacza. Nie uznawał autorytetów; nawet tych największych, czego dowodem Jego polemika z uczonym tej miary, co prof. Józef Kostrzewski, właściwy twórca archeologii polskiej, na temat tzw. „kultury trzcinieckiej” i „kultury lużyckiej”.

Był uniwersalny. Wzorem badaczy z minionej epoki, gdy liczba znanych faktów nie była zbyt wielka i możliwa do objęcia przez jednego człowieka, znał się na całej niemal archeologii. Patrzył również daleko w przyszłość. Prowadząc swoje najważniejsze badania terenowe na Lubelszczyźnie, nie był nigdy badaczem regionalnym.

Był znakomitym znawcą źródeł. Nikt chyba w Polsce nie potrafił lepiej rozróżniać, klasyfikować i chronologizować pozornie podobnych ułamków ceramiki. Wypracował tu własną metodę, którą przekazał wielu kolegom i uczniom, zarówno w kraju jak i za granicą. Stała się ona wkrótce tak powszechna, że z czasem już nie zawsze pamiętano, komu należy ją zawdzięczać.

Niezwykła też była droga życiowa i kariera naukowa Aleksandra Gardawskiego. Urodził się w 1917 r. w Dobrej w powiecie olkuskim. Studia archeologiczne rozpoczął w kwietniu 1945 r. w Łodzi, pod kierunkiem prof. Konrada Jażdżewskiego, a wkrótce potem również pracę dydaktyczną ze studentami młodszych lat i pracę naukową w Muzeum Prehistorycznym w Łodzi. W 1948 r. uzyskał magisterium, a w roku następnym przeniósł się do Warszawy, do Państwowego Muzeum Archeologicznego. Z ramienia tej instytucji rozpoczął w 1952 r. badania w Trzciniecu i Chodliku w powiecie Opole Lubelskie, które stały się podstawą Jego późniejszych sukcesów. W 1957 r., a więc stosunkowo późno, bo dopiero w 40 roku życia, obronił pracę kandydacką — nowatorskie studium na temat „kultury trzcinieckiej”, czyli początków epoki brązu w Polsce.

Od tego momentu rozpoczęła się Jego szybka kariera naukowa. Już w następnym roku został mianowany docentem, a w rok później powołano Go na kierownika katedry Archeologii Polski i Powszechnej UMCS w Lublinie. W krótkim czasie zorganizował na nowo tę placówkę, wyposażając ją w niezbędny sprzęt, bibliotekę, a nade wszystko kształcąc w niej kilka roczników młodych archeologów. W 1967 r. Aleksander Gardawski został mianowany profesorem nadzwyczajnym, a w 1973 r. — zwyczajnym. Po kilku latach nowej egzystencji Katedra zaprzestała rekrutacji własnych studentów, pełniąc funkcje usługowe dla innych specjalności. Od początku roku akademickiego 1974/75 Katedra (przeorganizowana w Zakład Historii Starożytnej i Archeologii), dzięki wysiłkom i trosce swego kie-

rownika, znów miała rozpocząć kształcenie nowych adeptów. Momentu tego nie dożył. Zmarł nagle w Lublinie 4 kwietnia 1974 r.

Z Aleksandrem Gardawskim zetknąłem się po raz pierwszy w 1951 r., kiedy był On jeszcze pracownikiem Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie. Od tego czasu byłem z Nim związany ściślej lub luźniej, w sposób formalny lub częściej prywatny przez ponad 20 lat, aż do samej śmierci. Kontakty te zawsze bardzo sobie ceniłem. Dziś, z perspektywy czasu, cenię je bardziej niż kiedykolwiek. To właśnie dzięki Niemu trafiłem do archeologii (poznałem Go, gdy byłem uczniem liceum). Po kilku miesiącach wypełnionych spotkaniami i rozmowami o archeologii zostałem zaangażowany na owe pamiętne wykopaliska w Trzciniecu i w Chodliku, które rozpoczęły nowy etap badań nad epoką wczesnego brązu i początkami wczesnego średniowiecza — dwoma okresami szczególnie bliskimi Aleksandrowi Gardawskiemu.

Prace te mocno utkwily mi w pamięci, nie tyle jednak ze względu na ich wagę naukową, z której zdawał sobie wówczas sprawę chyba tylko ich kierownik, ile na niezwykłość warunków. Były to ciężkie, pierwsze lata powojenne, kiedy wiel-

kłopotów organizacyjnych nie tyle ekspedycji, ile nowo powstającej placówki w Lublinie. Jednocześnie zdrowie AL Gardawskiego wyraźnie się pogorszyło. W tym nerwowym okresie, jak zresztą wielokrotnie później, miewał chwile depresji, po których następowały wybuchy wzmożonej aktywności. Rekompensata były rewelacyjne wyniki badań — nie tylko na samym grodzisku, ale również na wielkim zespole równoczesnych osad. To tu właśnie narodził się zupełnie nowy obraz osadnictwa południowej Polski w początkach wczesnego średniowiecza oraz nowa koncepcja datowania ceramiki z tego okresu. Zrazu pomysł cofnięcia chronologii o około dwa stulecia przyjmowany był przez archeologów z niedowierzaniem, z czasem jednak został zaakceptowany.

W dalszych badaniach w Chodliku już, niestety, nie mogłem brać udziału, gdyż zostałem oddelegowany do innych zadań. Wkrótce jednak uzyskałem możliwość innego rodzaju współpracy. Przez cały rok akademicki 1961/62 dojeżdżałem z Warszawy do Lublina, prowadząc dla studentów archeologii wykłady z numizmatyki wczesnośredniowiecznej. Były to naturalnie okazje do częstych spotkań. Spotkania te nie urwały się również i później, tyle że ograniczyły się głównie do Warszawy, w której bywał nader często. Wielka ruchliwość i energia życia, mimo słabego stanu zdrowia, ciągle były Jego cechami.

Po raz ostatni wreszcie na płaszczyźnie urzędowej zetknąłem się z

# CZŁOWIEK NIEZWYKŁY

## Wspomnienie o Aleksandrze Gardawskim

Stanisław Suchodolski

kie trudności sprawiał sam dojazd do tych odległych wsi, kiedy ludzie miejscowi byli nastawieni bardzo nieufnie do obcych przybyszów, kiedy wreszcie brakowało żywności. Nietypowy był również skład ekspedycji, do której poza kierownikiem i jeszcze jednym archeologiem pozostającym przez krótki tylko przebieg czasu, wchodził wyłącznie student, i to najmłodszych roczników, oraz osoby nie związane z archeologią, a wśród nich uczeń X klasy. Po krótkim czasie wszyscy tworzyli zgrany zespół. Kierownik, mimo znacznej różnicy wieku, traktował wszystkich jak swoich kolegów.

Po raz wtóry zetknąłem się z Aleksandrem Gardawskim w 1953 r. w czasie badań wykopaliskowych na Starym Mieście w Warszawie. Nie brał On bezpośrednio udziału w pracach terenowych współdziałał jednak w opracowaniu materiału ceramicznego, najbardziej masowego i sprawiającego największe kłopoty. Wówczas to właśnie ustalili nie tylko podstawy datowania ceramiki późnośredniowiecznej i nowożytniej, ale chyba również nowej galezi archeologii, do owej pory u nas właściwie nie istniejącej — archeologii późnośredniowiecznej i staropolskiej, zwanej też historyczną. W tym to okresie udało Mu się rozwicknąć tajemnicę wykonania naczyń glinianych. Udowodnił mianowicie, że aż do XV w. nie były one toczone, jak to powszechnie sądzono, lecz lepione z glinianych wałków, a następnie tylko obtaczane na kole.

Minał rok i znów spotkali się, tym razem w Biskupinie pod Złotym. W miejscowości tej, będącej niemal symbolem polskiej archeologii z racji odkrytego tu, doskonale zachowanego, osiedla kultury lużyckiej, odbywały się wówczas ogólnopolskie obozy szkoleniowe dla studentów. Aleksander Gardawski był jednym z instruktorów, ja świeżo upieczonym studentem.

Ponownie bliżej związałem się z Aleksandrem Gardawskim w latach 1958—1960, kiedy to wznowił On swoje badania w Chodliku. Tym razem byłem już po studiach archeologicznych i wraz z dr. Marią Dekówną zastępowałem kierownika. Ten okres nie należał do najbardziej owocnych. Warunki były, co prawda, o wiele lepsze niż poprzednio. Teraz jednak prace prowadziłem na znacznie większą skalę, a trudności wynikały z

Aleksandrem Gardawskim w Polskim Towarzystwie Archeologicznym i Numizmatycznym, którego był aktywnym członkiem, prezując Oddziałowi Lubelskiemu. Doceniał bowiem nie tylko badania naukowe, ale również ich popularyzację. Był także członkiem zarządu głównego i redaktorem Biblioteki Archeologicznej. Fakt ten zdopingował Go do napisania i wydania w formie książkowej części I monografii zespołu osadniczego w Chodliku. Część II, materiałowa, niestety, nie została już napisana.

Warto tu jeszcze wspomnieć o szczególnym zainteresowaniu Aleksandra Gardawskiego schyłkiem neolitu i początkiem epoki brązu. Okres ten niezwykle ważny i to nie tylko z powodu rewolucji spowodowanej zastosowaniem po raz pierwszy metalu, ale również ze względu na początki Prasłowian. Dotychczas szkoła autochtoniczna z prof. Kostrzewskim na czele utrzymywała, że są oni uchwytni dopiero od III okresu brązu, czyli od „kultury lużyckiej”. Zdaniem Aleksandra Gardawskiego można ich wiązać już z II okresem brązu i kulturą trzciniecką, która — Jego zdaniem — stała się głównym składnikiem wschodniego odłamu kultury lużyckiej. W przeciwieństwie do dawniej ustalonych poglądów uważał On, że kultura ta nie była jednolita i że tylko jej wschodni odłamek można łączyć z Prasłowianami. Zagadnienia te pozostają jeszcze dyskusyjne. Wielką jednak zasługą było już choćby zainteresowanie tej dyskusji.

Aleksander Gardawski pozostawił bogaty i interesujący dorobek w postaci kilku książek, wielu monografii i rozpraw naukowych oraz ponad 100 artykułów. Ostatnio ukończył trzy obszernie tomy (Starsza epoka brązu w Polsce, Kultura lużycka w Polsce, Etnogeneza Słowian) przygotowywane przez IHKM-PAN „Syntezy Pradziejów Polski”. Wielu innych rozpoczętych i planowanych prac już nie zdążył ukończyć — odszedł przecież tak nagle.

Niezmiernie trudno jest przedstawić obiektywny obraz człowieka tak wewnętrznie bogatego i różnorodnego, jakim był Aleksander Gardawski. Jeszcze trudniej pisać o Nim w czasie przeszłym, podczas gdy jeszcze niedawno był wśród nas, cieszył się wczesnie nadchodzącą wiosną tego roku, pełen optymizmu i planów na przyszłość. Wydaje się że teraz jest jeszcze za wcześnie, aby w pełni docenić Jego dorobek. Potrzeba na to większego dystansu.

## Stanisław Zurek

trzynastego lutego 1974 roku kopalem grób dla ojca pogoda była taka iż pijany grabarz opalał się w podkoszulku chciało się żyć w pokoju leżał ojciec z ust wypływała strużka krwi z płuc zżartych nowotworem czas było do ziemi ludzie szeptali o niebo powietrze dalekie i przejrzyste piękny widok ze wzgórza na rzekę czechówkę i nie nie uogólnialem ziemia była lepka

## Ryszard Celiński

### STRESS

Kiedy uderzą bolesne dzwony  
Kiedy słowa popadną w rozpacz  
A rozkołyszą cmentarne tony  
Będzie mi ciszej, będzie inaczej

Kiedy serce zrobie z kamienia  
Kiedy usną o ziemię granami  
My wymienimy baczności spojrzenia  
Będziemy głusi

Kiedy krzywdę zakopią w groby  
Kiedy głody zgina przyziemska  
To się ucieszą obmierzłe smętny  
Będzie im lepiej



Ilustracja: E. Ingłot

## Marian Janusz Kawałko

### JESZCZE JEDNA ZALEŻNOŚĆ

umarli żyją w mojej tkwią pamięci posłuszni zawsze by odejść na stronę albo bicz z piasku na siebie ukreślić i karty oddać choć gry nie skończono wyjąć pod powieką na ostatnią wałkę złowóżnie przegrać lecz poświadczyl za mną zataić szczerze każdą na mnie skargę i głosić milcząc że cień to ktoś stamtąd

umarli żyją przychodzą o zmierzchu cicho tak jakby nie było nikogo gotowi oddać swój mit swoją przeszłość za świecę wosku za ofiarne słowo

umarli żyją póki my żyjemy



Tak więc perspektywnie, niezależnie od przebiegu spaaku, samochodów osobowych na ulicach i drogach Polski będzie przybywać, zmieniać się natomiast może funkcja motoryzacji indywidualnej i rozkład „szczytów” komunikacyjnych. Już teraz ludzie przestają wykorzystywać własne środki lokomocji na codzienne dojazdy z domu do miejsca pracy i z powrotem, rezerwując swe samochody głównie dla celów rekreacji i turystyki, szczególnie świątecznej i urlopowej. Wygląda to na tendencję pogłębiającą się. W każdym razie cały świat przyjął prawo, iż prywatny samochód osobowy nie rozwiązuje problemu komunikacji w większych ośrodkach miejskich. Głosi się nawet pogląd: „Dla komunikacji ziorowej wszystko co możliwe, dla motoryzacji indywidualnej tylko co niezbędne”.

Jak wynika z informacji resortu Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska — 69 procent ludności miejskiej w Polsce ma możliwość korzystania z komunikacji ziorowej. Nie ma w kraju miasta liczącego powyżej 50 tys. ludności, które nie posiadałoby komunikacji ziorowej. Pośród 100 miast liczących 20—30 tys. ludności — 48 posiada taką komunikację, zaś pośród 388 miast poniżej 20 tys. mieszkańców — ma ją 64 (dane za rok 1973). Im niżej więc, tym większe potrzeby, szczególnie dotkliwe w miastach małych, lecz o dynamicznie rozwijającym się przemysle i rosnącej szybko ludności, gdzie problem doraźnie bywa rozwiązywany dzięki odpowiedniemu przedłużeniu i poprowadzeniu linii PKS.

Druga sprawa to poziom usług świadczonych przez istniejącą komunikację miejską, która od lat jest cierpliwym chłopcem do bicia ze strony opinii publicznej. Kwestia coraz drażliwsza nie tylko z uwagi na terytorialny rozwój miast, lecz również ze względu na zmianę profilu motoryzacji indywidualnej i związany z tym nacisk na ziorowe środki przewozu ludności w dużych miastach. Iżże o to, co najbardziej interesuje pasażera: dostępność, szybkość, punktualność komunikacji i kultura jazdy, od dawna popisowy numer felietonistów. A emocje wywołują się tu wielkie, skoro na przykład kierowca lubelskiego autobusu, zdenerwowany do imentu, potrafił odrzec pasażerowi: „Taki jak pan to u mnie w spodniach głowa na dot wisł!”

Cała nadzieja w licencyjnych Berlietach, bo dla wielu miast Polski właśnie autobus stanie się przyszłością komunikacyjną. Aktualne dostawy taboru komunikacyjnego starczą zasadniczo na pokrycie uoytków kasacyjnych, z niewielką jedynie nadwyżką, na pniu rozchwytywaną. Ale już pierwsze lata przyszłej pięcioletki przyniosą generalną poprawę sytuacji; stanie się to, gdy krajowy przemysł motoryzacyjny osiągnie wielkość produkcji autobusów miejskich, ustalone decyzjami rządowymi (w całej pięcioletce 1976—1980 wyprodukujemy o ponad 3700 autobusów więcej niż w obecnej — tą nadwyżką można by obecnie obdzielić 18 takich miast jak Lublin). Swiata więc poważna nadzieja dla miast, którym brak komunikacji ziorowej, a jest im ona pilnie potrzebna. W zwiększeniu taboru tkwi też poważna, choć nie jedyna, szansa poprawy usług istniejącej komunikacji miejskiej.

Lecz nie koniec na tym. Wybrane aglomeracje miejskie dorosły już do innych niż autobusy, tramwaje lub trolejbusy (istniejące tylko w Lublinie i Trójmieście) środków komunikacji ziorowej, ponieważ tak czy owak robi się coraz większy ścisk na jezdniach. Warszawa i Łódź dojrzały do metra, a stolica ma nawet decyzję o budowie tej inwestycji. W Głównym Okręgu Przemysłowym Katowickim rozpoczęto budowę kolei regionalnej. Trójmiasto przyłącza się do tej perspektywy. Istnieje jeszcze inna możliwość: wydobienie pod zatoczonymi śródmieściami tuneli posiadających gabaryty wagonów metra, w które to tunele na razie wprowadziłoby się linie tramwajowe, znacznie odciążając ruch na śródmiejskich jezdniach, przygotowując też miasto pod przyszłą budowę normalnego metra i likwidację sieci tramwajowej. Cała Belgia tak rozwiązuje swe problemy komunikacyjne i trudno ukryć, że nadzieje naszego Ministerstwa Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska wiążą się właśnie z premetrem, zlokalizowanym w wybranych dużych miastach kraju.

Oczywiście, nadzieje te i przymiarki będą jeszcze wielokrotnie weryfikowane w kontekście wstępnego projektu planu perspektywnego rozwoju Polski, aprobowanego przez Biuro Polityczne 19 marca br., a który to projekt jest kolejnym, po Raportie o Stanie Oświaty, znakomitym przykładem mariażu polityków, ekonomistów i naukowców. Lecz jeśli nawet metra, premetra i koleje regionalne staną się rzeczywistością, to autobus nadal będzie ważnym, w pewnych przypadkach niezastąpionym środkiem komunikacji miejskiej (choćby komunikacja na ciągach bocznych lub krótszych). Istnieją ponadto miasta, które w ogóle nie pretendują do metra czy kolei regionalnej ze względu na zarysowujący się układ urbanistyczny (lub docelową wielkość), miasta niejako skazane, przynajmniej w perspektywie tego stulecia, na komunikację autobusową. I takim miastem jest Lublin. Ciągłe zatem stoi problem dnia dzisiejszego i przyszłości miejskiej komunikacji autobusowej (w Lublinie chyba i trolejbusowej), zaś kłopoty, z którymi Lublin się boryka, mogą być dobrym przykładem trudności ogólniejszych.

Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Lublinie zdobyło pierwsze miejsce w ogólnopolskim współzawodnictwie zakładów swojej klasy za rok 1973. I chwala za to, że, gdyż dobre wyniki ekonomiczne i techniczne osiągnięto w rzeczywiste trudnych warunkach bazy materialnej przedsiębiorstwa i układu komunikacyjnego w mieście. Sukces lubelskiego MPK nie jest czymś przypadkowym, skoro w roku 1972 zajęło ono we współzawodnictwie krajowym II miejsce, zaś w roku 1971 — III. Tak się jednak składa, że dobre wyniki ekonomiczne MPK, wielkość czynów społecznych załogi, rozmiar współzawodnictwa pracy świadczą tylko o osiągnięciu maksymalnych rezultatów w istniejącej obiektywnie sytuacji, ja zaś wcale nie musi dopuszczać widocznej poprawy poziomu usług świadczonych przez komunikację. Niestety.

# NA CO WIĘC NARZEKAMY?

Na tysiąc mieszkańców objętych komunikacją miejską w Lublinie przypada 73 miejsca (siedzące lub stojące) we wszystkich środkach komunikacyjnych, w Kielcach — 75, w Bydgoszczy — 97, w Warszawie — 194, przeciętna krajowa — 95 (dane za rok 1973). Oznacza to, że jeśli lublinianin nie chce chodzić piechotą lub jeździć własnym samochodem, musi się tłoczyć bardziej niż kieleczanin, bydgoszczanin lub warszawianin. W szczycie rannym i popołudniowym przypada w Lublinie 10 pasażerów stojących na jeden metr kwadratowy, podczas gdy najbardziej wyśrubowane normy francuskie dopuszczają tylko 8 pasażerów, zaś norma krajowa, choć odpowiedni resort tego nie potwierdza, mówi podobno o 6 pasażerach.

Owo szczególne zatłoczenie w najbardziej niewrażliwych momentach komunikacyjnych, kiedy ludzie podróżują między domem a miejscem pracy, jest nie tylko funkcją braku dostatecznej ilości taboru, lecz również skutkiem zwykłej niemożności porozumienia się. Oto bowiem w wielu miastach Polski wprowadzono zasadę rozsuwania czasu rozpoczęcia pracy w zakładach i instytucjach. Gdyby między poszczególnymi grupami zakładów i instytucji wprowadzić w godzinach 7,00 — 8,30 piętnastominutowe różnice w rozpoczęciu pracy, w sposób poważny rozładowałoby to „szczytów” przeciążenia komunikacyjne, co wydałoby się szczególnie istotne w sytuacji Lublina, który posiada niewiele taboru. Sprawa leży w gestii urzędu wojewódzkiego i kilka lat temu była w Lublinie zatławiona pozytywnie. Niestety, później wszystko wróciło, z „inicjatyw” zakładów i instytucji, do bezsensownego stanu dzisiejszego, kiedy większość lubliniaków rozpoczyna i kończy pracę równocześnie, i równocześnie dusi się w zatoczonych autobusach czy trolejbusach.

A trzeba pamiętać, że nadmierne przeciążenie taboru niszczy pojazdy i prowadzi do wzrostu tak zwanych zjazdów technicznych z trasy i przestojów, co z kolei powoduje nie tylko jeszcze większy tłok w wozach kursujących (błędne koło się zamyka), lecz również kładzie całą punktualność komunikacji miejskiej. Drugim czynnikiem wpływającym na tę punktualność są zjazdy z trasy, wynikające z niedoboru kierowców autobusowych. Liczba takich zjazdów bez podmiary wzrosła w Lublinie z 971 w roku 1972 do 3373 w roku 1973! Sytuacja jest alarmująca i — jak widać — nie radzi tu nawet ostatnia poważna podwyżka pensji w ramach resortu (dobry kierowca może zarobić do 6000 zł miesięcznie, ale praca ciężka, awantury



Rys. L. Maciejewski

z pasażerami, ciągle pedalowanie, zmienianie biegów, kręcenie kółkiem, no i nie każdemu się chce o 3.30 rano zaczynać robotę). Może warto by upowszechnić eksperyment warszawski, polegający na skróconym systemie szkolenia kierowców autobusów (kurs trzymiesięczny). Chętnych było w nadmiarze, zainteresowane resorty przychylnie oceniły pomysł i rezultat.

I wreszcie na punktualność komunikacji miejskiej, przy zwiększającym się obciążeniu ruchem układów ulicznych, ma wpływ jeszcze trzeci ważny element: uprzywilejowanie pojazdów tej komunikacji w ruchu ulicznym. Znowelizowany kodeks drogowy, na razie nie obowiązujący, dopuszcza możliwość wydzielenia pasm jezdni przeznaczonych wyłącznie dla wozów komunikacji miejskiej oraz ustanawia dla tych wozów pierwszeństwo przy włączaniu się do ruchu (lecz nie przy zmianie pasa ruchu). W nadziejach resortu Gospodarki Terenowej leży również pierwszeństwo pojazdów komunikacji miejskiej (autobusów) na skrzyżowaniach oraz zakaz zatrzymywania się i postoju pojazdów prywatnych na tych ulicach objętych komunikacją ziorową, gdzie nie da się dla niej wydzielić odrębnych pasm ruchu (zbyt wąskie jezdnie). Ponieważ w Lublinie wszystkie ulice, po których kursują autobusy i trolejbusy, do takich zasadniczo należą, więc nadzieje Ministerstwa, zresz-

ta motywowane sytuacją w większości państw europejskich, zaostrej apetyty komunikacyjne lubliniaków korzystających z komunikacji miejskiej.

Jeśli pasażer będzie wożony punktualnie, szybko i bez tłoku, to może mu się przypadkiem zachcieć, żeby w pojazdach było czysto. Tymczasem jest specyfika ogólnopolska, iż nikt w naszym kraju nie produkuje (bo nie chce) sprzętu mechanicznego do mycia wnętrza pojazdów, choć leży to również w zainteresowaniach PKS i choć istnieje sprawdzony w Gdańsku prototyp takiego urządzenia, opracowany krajowymi siłami. Do mycia wnętrza nadal służy więc kobieta, gąbka i szmata, ale co w tej sytuacji da się przez cztery nocne godziny zdziałać? W ogóle wyposażenie obiektów zaplecza technicznego komunikacji miejskiej, od którego zależy przecież sprawność i funkcjonalność pojazdów, a w konsekwencji punktualność i rozłożenie komunikacji — to bolączka całego kraju, zaś Lublin szczególnie. Z kwestią zabezpieczenia napraw głównych potrafiłszy sobie poradzić, z codzienną obsługą taboru i drobniejszymi reperacjami — nie za bardzo. Gdzie te wielofunkcyjne myjnie zewnętrzne, dystrybucyjny paliwa, urządzenia badające pompy wtryskowe i tak dalej? Za mało ich. Części zamiennych też stanowczo za mało.

Obecna zajezdnia i zaplecze techniczne MPK w Lublinie są obliczone na 100 jednostek, a obsługują ponad 250. W przyszłym roku rozpocznie się budowa obiektu na Majdanie Tatarskim, mogącego pomieścić i obsłużyć 300 wozów, ale kto zapewni należyte wyposażenie techniczne w nowych murach, skoro nikt nie podjął się (bo nie chciał?) wykonania instalacji do podgrzewania zimą autobusów na stanowiskach postoju w obecnej zajezdni (dokumentację i środki zapewniło MPK)?

Na sprawność działania i skuteczność komunikacji miejskiej ma zasadniczy wpływ cała infrastruktura komunalna: układ komunikacyjny, stan istniejących ciągów przewozowych i tak dalej. Jest to właściwie odrębny temat i całe morze problemów dla Lublina: brak pętli objazdowych i zatok, istniejące pętle objazdowe za wąskie (niszczy się ogumienie przy krawężnikach), zatoki za małe i za płytkie, niewłaściwe wyprofilowanie ulic (woda płynie środkiem, autobus chlapią przechodniów, MPK płaci za czyszczenie ubrań), ulice za wąskie, rozjeżdżone i rozklejone ciągłymi wykopkami (w jednym tylko miesiącu wiosennym MPK musiało wymienić w swoich wozach ponad 200 resorów!), wadliwe oznakowanie pionowe i poziome (linie ciągłe, których praktycznie nie można przekroczyć przy wyprzedzaniu, a zakazu wyprzedzania brak), nie istnieją WC na pętach (i co ma robić kierowca siedzący 8 godzin za kółkiem?), źle zlokalizowane przystanki... Całe morze krzyżujących się kompetencji, win i wzajemnych pretensji, aż żal z rozwikłania tego splotu zrezygnować, choć trzeba, więc podam przykłady tylko, w jak trudnej sytuacji znajduje się Miejski Zarząd Dróg i Mostów, który ostatnio robi co może, aczkolwiek status jego niejasny (podlega Urzędowi Miejskiemu i Zjednoczeniu Gospodarki Komunalnej i nie jest w swej dziedzinie jedynym inwestorem w mieście), fundusze mizerne, a możliwość sankcji jeszcze mizerniejsza.

Na 370 km ulic w Lublinie tylko 155 km posiada nawierzchnię asfaltową. Oto skala potrzeb. Komunalne Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich nr 2 za opóźnienie prac przy ul. Pawiej i Wierzbowej płaci od 1 stycznia br. po 64 tys. zł miesięcznie kar umownych (ale nie płacą z własnej kieszeni ludzie bezpośrednio odpowiedzialni za parowanie, lecz środki idą z funduszu zakładowego!). Oto przykład „wykonawcy” robót komunalnych. Nikt nie przestrzega obowiązku pracy wielozmianowej przy pilnych zadaniach dla miasta, mnożą się samowolne wykopki, skandaliczna jest jakość prac drogowych. Oto „infrastruktura” komunalna. Zbyt wiele zadań rozpoczynanych równocześnie i nie kończonych, bo środki szczupłe. Oto możliwości.

W Zarządzie Dróg i Mostów powiedziano dziennikarzowi otwarcie: „Do tej pory właściwie nie było koncepcji układu komunikacyjnego w Lublinie, była improwizacja, przedsięwzięcia nieskoordynowane.” Istotnie. Paszerza się na przykład ul. Kunieckiego, a zostawia prowadzący do niej wąski i nieprzejezdny wiadukt. To samo z mostkiem letwym u skrzyżowania nowo zbudowanej Al. Lenina i ul. Kalinowszczyzna.

Szcześciem będzie koncepcja (nareszcie!) układu komunikacyjnego w Lublinie, opracowywana przez warszawski Instytut Kształtowania Środowiska, a uzgadniana z Wojewódzką i Miejską Pracownią Urbanistyczną w Lublinie oraz tułejszą Pracownią Planów Regionalnych — koncepcja niezależna od przejściowych mód i jednostkowych decyzji, obliczona w zgodzie z perspektywą przyszłego przestrzennego zagospodarowania kraju. Może dożyjemy?

Maciej Podgórski



W maju 1974 roku największe radomskie bógwi-  
co objawia się jednak w kabarecie „Contra”, gdzie  
śpiewają tak:

W końcu Radomir dosyć miał rozbojów,  
za Kielca wydać pragnął Wandę swoją.  
I choć na zgodę już ubito cielca —  
Nie chciała Kielca.  
Wanda, co Kielca w łóżce swe wpuściła,  
Wzięła na ambit i w Mleczną skoczyła,  
Plusnęła na dno, gdzie najczystsza woda.  
Oj, Wandy szkoda...



Wojciech Twardowski na  
nie autoportretu  
Fot. M. Kostrzewski

opłacić, ale nim zwłoki wypłyną zapewne uzbiera  
się więcej gotówki. Ba! Gdyby Twardowski brał  
od tych, którzy nie chcą zasłużyć sobie na  
uwiecznienie w kabarecie, pogrzeb byłby zaiste  
królewski.

Przejrzałem ostatnio „Kamień” (nr 327) sprzed  
lat dziewięciu. Autor reportażu pt. „Radom kontra  
Kielce” pisał: *Po kilku dniach pierwszego mego  
pobytu w Radomiu jestem przekonany, że najczę-  
ściej mówi się w tym mieście o Kielcach. Każda  
trudność, każda prawie bolączka czy niedopatrze-  
nie ma swoje źródło — jak twierdzą radomiacy —  
w stolicy województwa. I tak np. w autobusie za-  
łoczonem do ostatniej możliwości nie klinie się,  
jak w innych miastach, na miejską komunikację,  
lecz na Kielce; mówiąc o niektórych budowlach,  
już zabytkowych, bowiem od wielu lat budowa-  
nych, nie komentuje się ironicznie „porządków”,  
lecz wspomina władze wojewódzkie...*

W ciągu tych dziewięciu lat co nieco się zmie-  
niło. Przede wszystkim Kielce nie są już patro-  
nem w spodniach przetartych na zadku. Miasto  
złapało drugi oddech, a jego druga młodość jest  
na pewno bogatsza niż pierwsza. Radom też nie  
stał w miejscu, choć stary dworzec PKP nadal  
straszny, a to, co się określa jako dworzec PKS, na-  
wet w czasach guberni wyglądałoby jak relikwiarz  
przeszłości. Wtajemniczeni twierdzą, że władze miej-  
skie i spece od urbanistyki od lat bezskutecznie  
szukają dlań nowej lokalizacji. Z lokalizacją tea-

tru nie ma natomiast kłopotu, bo teatr stoi. Ale  
z uwagi na skandaliczne warunki bhp zamknięto  
go przed ośmioma laty. W 1972 r. rozpoczęto pra-  
ce remontowe, a w tym roku miano przystąpić do  
generalnej przebudowy gmachu; zawarto nawet  
umowę z Kombinatem Budownictwa Miejskiego.  
Ale dyrekcja kombinatu najpierw umowę podpisa-  
ła, a dopiero później zaczęła rachować i doszła  
do wniosku, że może się podjąć zadania, jeśli wła-  
dze miejskie zwolnią ją z... postawienia dwóch bu-  
dynków mieszkalnych.

## RADOM: między Kielcami a Warszawą

Zwalniać można było kiedyś chłopów od miarek  
i odsypów. Kiedy oczekiwanie na własny kąt trwa  
jednak w Radomiu lat dziesięć, nikt nie podejmie  
decyzji o uszczupieniu substancji mieszkaniowych.  
„Żeby dyrektor Kombinatu — slysze — chciał żyć  
sprawami kultury!” Żeby... Może wówczas byłby  
jednak dyrektorem departamentu w Ministerstwie  
Kultury i Sztuki!

Na nowe mieszkanie trzeba czekać, a przecież —  
mimo że ludność Radomia w ciągu 29 lat zwiększy-  
ła się o ok. 100 tysięcy — na jedną izbę przypada  
dziś 1,5 osoby, a nie 2,2, jak było w 1945 r. W okre-  
sie powojennym wybudowano tu ok. 23 tysiące  
mieszkań, czyli inaczej mówiąc ok. 68 tys. izb.  
Osiedle „Ustronie” stało się słynne w całej Polsce,  
bo tu właśnie po raz pierwszy w kraju zastosowa-  
no system budownictwa wielkopłytowego W-70.  
System ten (elementy stropowe z Płonia, a ściany  
osłonowe z Solca Kujawskiego) pozwala na realiza-  
cję różnych układów funkcjonalnych zarówno jeśli  
chodzi o poszczególne mieszkania, jak i budynki.  
Eksperyment radomski zdał egzamin i tutejsze  
doświadczenia wykorzystuje się w Warszawie, Opo-  
lu, a nawet w Kielcach. Czyli i Kielce mogły się  
w siedzibie powiatu czegoś nauczyć.

Ale ta siedziba powiatu naprawdę jest nietypo-  
wał 160 tysięcy mieszkańców, z których połowa jest  
zatrudniona w różnych działach gospodarki nardo-  
wej. Ok. 45 tys. ludzi pracuje w przemyśle. Naj-  
więcej osób — w przemyśle maszynowym, a póź-  
niej w kolejności — w przemyśle skórzanobu-  
wniczym, spożywczym, elektrotechnicznym, materia-  
łów budowlanych. To Radom dostarcza na rynek  
krajowy i na eksport kucharki gazowe, maszyny  
do szycia, aparaty telefoniczne, fajans sanitarny,  
obuwie, skóry twarde i miękkie. To z wytwórni  
radomskiej wychodzą najlepsze „sporty”.

„U nas są jednak antagonizmy między starymi  
a nowymi mieszkańcami — twierdzi stary rado-  
mianin. — Nowi — to wsłowi. Rozpychają się  
lokciami”.

Gdzie ja to już słyszałem? W Lublinie? W Kra-  
kowie? W Warszawie? Procesy integracyjne wszę-  
dzie są jednakowe. I jeśli tu zasiedzieli od pokoleń  
radomianin, lublinianin, krakowianin etc. chwali  
się rozwojem swego miasta, rozwojem przemysłu,  
to woli zapominać, komu ów rozwój należy w  
dużej mierze zawdzięczać...

Inna opinia: „Radom — to miasto kontrastów.  
Można tu spotkać ludzi bardzo biednych i ludzi  
bardzo, bardzo bogatych. Dedo został w swoim  
czasie skazany za wielkie interesy skórzane. Ale  
przecież Dedo nie był postacią wyjątkową. Inni  
nie mieli takiego pecha. Przeczekali. Te wille na  
peryferiach miasta buduje klasa robotnicza?”.

W jednej z komfortowych willi nocuje. Radom nie do-  
robił się po wojnie hotelu, ale o pokój gościnny wcale tu  
nie trudno. Otrzymuje skierowanie do jednego z nich.  
Pięć pokoi. Pan domu — prywatna inicjatywa. Cztero-  
osobowa rodzina Wynajmuje trzy pokoje na górze, każ-  
dy po dwa łóżka. Jeśli jest komplet — wypada na dobę  
ok. 250 złotych. Budowa willi kosztowała ok. 500 tysięcy  
złotych, ale już w tej chwili mogą ją sprzedać za milion.  
Naprzeciwko — trzy inne wille w budowie. Kto się bu-  
duje? Pan domu uśmiecha się: „Ta na prawo należy do  
kameniarza. Wie pan, pomniki ementalne wyrabia. A  
tamta — do krawca. Robi różne modne rzeczy i na targ  
dostarcza. A znów ta czerwona, co na niej właśnie  
pracują do mechanika samochodowego”.

Warsztat samochodowy — to coraz lepszy interes. A Ra-  
dom ma dobre położenie: blisko Warszawy. Przy szosie  
warszawskiej rozwijają się punkty naprawcze. Dobry fa-  
chowcy, a wielu tu takich, mają stale pełny portfel zie-  
leń.

Tego typu inicjatyw, zwłaszcza gdy spółdzielcze usługi  
odstają, potępiać nie należy. Ale mądra, elastyczna poli-  
tyka podatkowa powinna kierować się społecznymi po-  
trebami.

Moja jednonocna gospodyni haruje ciężko. Z praniem  
poszeleł ma sporo kłopotów, a już tak się w rodzinie  
utarło, że i wóz codziennie mężowi myje. „Panie — mó-  
wi — ja nie mam nawet kiedy gazety przeczytać”.

Ale niezwykle sympatyczny dyrektor miejscowej  
placówki „Ruchu”, Roman Wójcik, nie bez dumy  
mówi, że sprzedaż „Trybuny Ludu” wzrosła ostat-  
nio do 9 tysięcy egzemplarzy dziennie — a w so-  
botę nawet do 12 tysięcy. „Zycia Literackiego”  
idzie około 700 sztuk, „Kultura” — ok. 300, kielec-  
kich „Przemian” — około 1000.

W księgarni bez żadnego trudu i bez żadnej pro-  
tekcji nabywam kolejny tom wspomnień de Gaul-  
le'a, znajduję tu też inne książki, których bezsku-  
tecznie szukam w Lublinie. A w antykwariacie  
„Współczesnym” ciągle dopytują się o „Trędowatą”.  
„Radom nie słynie z nadmiaru inteligencji —  
wyjaśnia mgr Tomasz Palacz, z-ca inspektora  
oświaty do spraw kultury. — Ale teatr ma swoich  
wielbicieli”.

Teatr (kielecko-radomski) przyjeżdża z Kielc  
i korzysta z gościnnej sali MRN na 800 miejsc. „Sen  
srebrny Salomei” obejrzało na 12 przedstawieniach  
5 336 widzów. „Świętoszka” — 2 479, „Dziś do ciebie  
przyjdę nie mogę” — 9 397, ale to nie był rekord.  
Przypadł on molierowskiemu „Skapcowi”: na 15  
spektaklach było 10 738 osób. Nie są to więc wcale  
liczby takie małe!

„Do snobizmu — mówi do mnie człowiek, który  
prosi o zachowanie incognito — należy w Radomiu

Zatrzymajmy się przy „Barwach”.  
Oficjalnie patronowały im Polskie  
Towarzystwo Historyczne Oddział  
w Lublinie oraz Towarzystwo Mi-  
łośników Lublina. W rzeczywistości  
prawie wszystko zawdzięczać należy  
prezesowi Oddziału PTH, doc. dr.  
Zygmuntowi Mańkowskiemu i wice-  
prezesowi TML inż. Henrykowi Ga-  
wareckiemu. Ludziom upartym, kon-  
sekwentnym, po uszy zakochanym  
w Lublinie (który zresztą nie jest  
lechem miastem rodzinnym), znającym  
jego historię, piękno dawne i teraź-  
niejsze, to co się w nim działo  
oficjalnie i za kulisami.

— Współorganizatorem był również  
Miejski Dom Kultury — posiadają obaj  
— a z ogromną pomocą pospieszył „Ku-  
rier Lubelski”, który systematycznie i w  
sposób atrakcyjny zapowiadał wieczory,  
przedstawiał sylwetki prelegentów-gawę-  
dzarzy. Przez 39 wieczorów, organizowa-  
nych z przerwą wakacyjną od maja  
1973 r. do maja 1974 r., przewinęło się  
ich 35, ludzi głęboko zainteresowanych

problematyką Lublina, jego prawdziwych  
miłośników. A przecież przeszłością te-  
go miasta, jak obliczyliśmy, zajmuje się  
przynajmniej 60 osób. To nie tylko pra-  
cownicy UMCS — jest np. nauczyciel  
p. Froch, z Archiwum Państwowego —  
panie Stankowa i Paulowa, z bibliotek —  
panie Gawarecka i Wojska, pracownicy  
PKZ itd. Na wieczory przychodzili tyl-  
ko ci, którzy naprawdę miłują to mia-  
sto, a było ich w sumie kilkuset. To by-  
ła jakby powszechna mobilizacja praw-  
dziwych miłośników Lublina. Zaobser-  
wowaliśmy, że ludzie przychodzili na  
wybrane cykle, przy czym stosunkowo  
największym powodzeniem cieszyły się  
lata, do których można było jeszcze  
sięgnąć pamięcią, chociaż szczególnie du-  
że zainteresowanie wzbudziło także po-  
wstanie styczniowe. Słuchacze często su-  
gerowali nam tematy, przynosili różne  
pamiątki z własnych zbiorów. My też  
pokazywaliśmy różne eksponaty, np. dy-  
rektor Archiwum w odpowiedniej obsta-  
wie ochronnej przyniósł oryginalny akt  
lokacyjny miasta. Były też uroczalności  
muzyczne, np. słynna Tabulatura Jana z  
Lublina w wykonaniu uczniów szkoły  
muzycznej, koncert Wieniawskiego, recy-  
tacje poezji Mikołaja Reja. Zaskakujące  
było zestawienie Reja-hreczkościewa z  
poezji i Reja-zapieckiego pieniacza z ży-  
cia.

— Tytuły spotkań były niewątpli-  
wie atrakcyjne, np. „Gdy Lublin nie  
był miastem”, „Dawny karnawał”,  
„Stolica po raz pierwszy”, „Stolica  
po raz drugi” itd. A treść — zda-  
niem panów?



Na zdjęciu: odsłonięcie popiersia Marli  
Konopnickiej w VII Liceum Ogólnokształ-  
cącym w Lublinie, noszącym imię  
poetki. Liceum otrzymało w tym roku  
Medal Komisji Edukacji Narodowej.  
Wszystko to z okazji zorganizowanego  
w tej szkole VI Ogólnopolskiego Zjazdu  
Liceów Ogólnokształcących im Marli  
Konopnickiej w dniach 20-22 maja br.  
Impreza udana i bardzo pożyteczna, ob-  
fitująca w pożytki naukowe (referat  
uczniowski pt. „Troška o losy dzieci i  
młodzieży w literaturze polskiej”), kra-  
joznawcze (zwiedzanie Lublina, Nalecz-  
owa, Kazimierza i Puław) i artystyczne  
(konkurs recytatorski).

Fot. A. Kargol

# BARWY I ROK „E





Stary Radom. Centrum.



Nowy Radom. W-70 robi karierę



Osiedle 15-lecia

Fot. B. Duda

pokazanie się w teatrze warszawskim. „Widziałem na scenie Holoubka!” „Jak wspaniale grała Kucówna!” Są ludzie, którzy nigdy nie byli w teatrze kieleckim, ale o repertuarze teatrów warszawskich są znakomicie poinformowani”.

Może to i snobizm. Ale taki snobizm nie jest znów zły, zwłaszcza gdy zna się ludzi z tzw. pionu kultury, którzy w Warszawie odwiedzają jedynie „Sawę” i „Centrum”.

Nie wydaje mi się jednak słuszną decyzją połączenia w dużym Radomiu — wzorem mniejszych miast powiatowych — wydziału kultury z wydziałem oświaty. Tam, gdzie zamiast naczelnika rządzi prezydent, należałoby zachować dawną strukturę.

Kultura radomska ma sporo niedomagań. Inwestowano w ubiegłych latach w przemysł. Koldra była zbyt krótka i to widać tu na każdym kroku. Zbyt wąty jest też dopływ młodych kadr: energiczny Wojciech Twardowski może swą „Contre” traktować jako hobby, etat ma w muzeum. Na szczęście nie wykonuje już bzdurnych poleceń, jak np. zorganizowanie (w muzeum!) wystawy na temat higieny — bo i tak nigdy w Radomiu bywało — ale co najwyżej zaledwie się rozdwoi. Klubami przyzakładowymi rządzi przeważnie stara gwardia, powiązana koneksjami, która niezbyt lubi przewietrzać atmosferę, chcąc bez wstrząsów dożyć emerytury. To temat sam w sobie, na pewno delikatny, ale przecież do ruszenia.

A jednak Radom zdobywa się na wartościowe inicjatywy. Do takich należy tegoroczna Radomska Wiosna Poetycka. Był Tadeusz Kubiak Edward Holda, Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski, Roman Sliwonik, Ryszard Miernik, Zbigniew Bieńkowski, Tadeusz Mocarski, Piotr Kuncewicz. Na kilkunastu imprezach nie brakło gości, nie brakło pytań. Mgr Danuta Tomczyk wicedyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej, która w organizowanie Wiosny włożyła niemało trudu — miała satysfakcję, że jej wysiłek nie poszedł na marne. Przede wszystkim jednak opinia o Radomiu — oystyni kulturalnej a taka opinia pokutuje i w samym mieście, mogła przeżyć korzystna metamorfoza. „Miejscy” i „wstawi” jednakowo chłona piękno polskiego słowa. Jeśli jest ono właściwie podane...

Ale co z tym Radomiem contra Kielce? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Pewien antagonizm między tymi miastami na pewno pozostał, choć któryś z rozmówców oświadcza: „Jaki może być antagonizm między myszą a kotem?” Ale zaraz potem drugi zapytuje: „A kto tu jest myszą, a kto kotem?” Zapewne do tego, że pewien antagonizm jeszcze istnieje, przyczynili się i sami radomiacy, którzy w minionych latach, korzystając z różnych znajomości, jeździli bezpośrednio do Warszawy i tam szereg spraw załatwiali. Ale — chyba to dziś sami przyznają — deglomeracji stolicy i tak nie wykorzystali w 100 procentach.

„Zamiast pilnować, jak Kielce dzielą swój bochen chleba, próbowali uszczknąć bochen ogólnopolski, niech się więc teraz nie dziwią, że kromka kielecka jest nieco mniejsza niż być by mogła...” — słyszę.

Jak jest właściwie z tą kromką, trzeba by sprawdzić na miejscu, w Kielcach. W każdym razie czas pracuje przeciw miejscowym partykularyzmowi: kraj przestał być federacją województw, a województwa — federacją powiatów.

Z bliskości Warszawy, czy Lublina (również, również!) trzeba korzystać mądrze, chociażby tak, jak Barbara Koś, radomianka, która skończyła studia polonistyczne w Lublinie, a po studiach wróciła do Radomia. Zahaczyła się o szkołę (na razie niezbyt jeszcze pewnie), ale z Lublinem kontakt utrzymuje, pisząc co pewien czas felieton do „Kamieny”. Aż dziw, że jeszcze nie podkupiły jej „Przemiany” czy „Słowo Ludu”. Swego nie znacie? Radom to przecież województwo kieleckie!

Ale Barbara Koś nie jest sportowcem...

Marek Adam Jaworski

## NAJMŁODSI POECI LUBLINA

Bogusław Wróblewski

\* \* \*

Przybiegnij tu na jeder  
oddech  
i ściągnij mi na głowę  
niebo  
puszyste od dotyku  
ust.  
Potem poczuje jak po  
stopniach  
rzeźbionych dłońmi w moim  
ciele  
schodzisz w drobny  
ukrytego  
aby je rozgrzać do biłości.

Leszek Bojanowski

\* \* \*

I był wśród nich kłóren nie miał opaski na oczach  
i rzekli mu prowadź

tedy wiódł ich  
aż przewiódł w obfitość kwiatów i owoców  
i rzekł — oto ziemia żyzna wokóło  
tu stanie dom nasz i pole nasze  
a oni zadziwili się wielce w sercach swoich  
— otośmy przeżyli wojnę największą  
widzieliśmy śmierć wielką i zniszczenie  
i jesteśmy jedyni z plemienia naszego  
a otośmy przybyli w krainę żyzności

i błądąc poczęli  
iż ślepyimi będąc siał zboża nie moga

tedy on zdjął im opaski z oczu  
i tak rzekł

zaprawdę powiadam wam  
po każdej nocy wstaje dzień nowy

Waldemar Dras

### PIASKOWNICA

TO MIASTO jest podobne  
do mego dzieciństwa  
zapłute  
zasmarkane  
i  
zarsrane

wszyscy jesteśmy podobni  
o te kilka lat  
ale tylko według alfabetu

dzisiaj brak mi wózka  
tamtej matki

to miasto jest podobne

nawet mała dziewczynka  
która kiedyś bawiła się ze mną  
w piaskownicy  
jest dzisiaj kobietą



Fot. W. Stepiela

Kamena str. 9

— Chyba też. Wielkie problemy były tylko szkieletowane, natomiast konkretne fakty zawsze umiejscowione w określonych dzielnicach, domach, pokazywano sylwetki ludzi, przepiatano to anegdotami. Frekwencja wahała się od 20 do 120 osób, rekord obili wieczór o kaplicy na Zamku, co było niewątpliwie związane z perypetiami przy jej odnawianiu. Szeroko relacjonowała to prasa. Tu też stworzyliśmy niespodziankę, zapraszając wszystkich do zwiedzenia tego obiektu, powszechnie wciąż niedostępnego.

Na odczytach zdecydowanie przeważali starci, szkoły natomiast przegapiły całą sprawę nie widzieliśmy ani jednej zorganizowanej grupy szkolnej. To chyba wina nauczycieli, którzy sami też mogliby chyba na tym skorzystać. Studenci przychodzili, ale mało, więcej było przewodników PTTK. Gdyby nasz wysiłek organizacyjny trafił do młodzieży, miałibyśmy znacznie większą satysfakcję. Sądymy też, że dużym wkładem w integrację mieszkańców byłoby powielanie tych prelekcji w poszczególnych dzielnicach, np. w klubach LSM czy Bronowic. Samokrytycznie trzeba przyznać, że np. w Opolu, Rzeszowie czy Radomiu zrobiono znacznie więcej niż u nas. Jeżeli chodzi o uczelowe związanie mieszkańców z miastem, o przybliżenie im problematyki zarówno historycznej jak i współczesnej w Warszawie niemal każdy znaczący zabytek ma własne opracowanie. U nas wydaliśmy różne książki o Lublinie, ale brak właśnie takich małych, popularnych opracowań, z przeznaczeniem także dla turystów. Wykonanie tego u nas to chyba ważne i pilne zadanie.

Tyle — w skrócie — moi rozmówcy. Wnioski, jakie można wysnuć z tych wypowiedzi, w dużej części pokrywają się z uwagami na początku tego artykułu. Podnosi to autora na duchu — a jednocześnie smuci, że tak wiele jest jeszcze do zrobienia.

Myślę więc, że następne Dni Lublina nie będą już organizowane w zamkniętym kręgu osób, że ich termin i program nie będą do ostatniej chwili tajemnicą. A życząc sobie i czytelnikom dalszych postępów w integracji naszej społeczności, wołam głośno: „Barwy” nie mogą się skończyć! Może potrzebne jest uzupełnienie tego cyklu, może nowy, poświęcony historii dzielnic, dziejom ważniejszych zabytków, tworzącym tu poetom i pisarzom, aktorom lub muzykom, życie ludzi których imieniem nazwalibyśmy ulice... Możliwości są przeróżne. Niech od września czy października znów zacznie się ta dobra robota, niech zyska więcej wspólników w programowaniu, organizowaniu, prezentowaniu, popularyzacji.

Jerzy Dostatni





Postać ze spektaklu Theatre Limited Uganda

Fot. M. Austria

**L**AKIERNICTWO... Słowo to, szeroko rozpowszechnione na pewnym przejściowym etapie trzydziestolecia, wyszło od jakiegoś czasu z mody publicystycznej, albowiem, zdawałoby się, zanikła sposobność jego stosowania, z chwilą gdy stało się wyuczalne przyspieszenie tempa na prawy w różnych dziedzinach bytu społecznego. A przecie, choć termin uległ zapomnieniu, realna jego istota nadal istnieje tu i ówdzie — w „dyplomatycznych” układach podsumowań sprawozdawczych tudzież w efektownych zapowiedziach planowanych akcji.

Melancholijna ta refleksja nawiedziła mnie w momencie, kiedy zabierałam się ze swej strony do „podsumowania” niedawnej „9 Lubelskiej Wiosny Teatralnej”, po której obiecywałam sobie tyle radości.

Parę lat temu ktoś z dziennikarzy lansował pogląd, iż mamy w Polsce za dużo festiwali teatralnych, że należałoby je nieco przetrzebić. Napisałam wówczas do „Teatru” artykuł pod tytułem „Festiwale — moja miłość”. Nie było w tym ani cienia przesady czy hipokryzji, na prawdę kocham odświeżającą artystyczną atmosferę spotkań teatralnych. Ież tedy powinienam kochać Lubelską (początkowo — „Studentką”) Wiosnę Teatralną, która urodziła się na moich oczach, w mieście będącym od lat trzydziestu moim miastem! Toteż w ośmiu artykułach oceniających osiem naszych „Wiosen” niezmiennie dawałam wyraz satysfakcji, że śmiała impreza AT UMCS „Gong 2” z Andrzejem Rozhinem na czele — nie okazała się efemerydą, że się zakorzeniła, rozwija, krzepnie itp. Ukontentowanie moje osiągnęło apogeuum po VII SWT, kiedy „Wiosna” zgromadziła m. in. takie teatry studenckie, jak np. szczecińskie Studio Miniatur, Cytryna, Teatr 38, „Pleonazmus”, które zainteresowały przyjaciół sztuki teatralnej szeregiem niebanalnych sensownych przedstawień. Przemianowanie VIII SWT na LWT powitałam z zadowoleniem jako podniesienie rangi imprezy ze środowiskowej do ogólnolubelskiej. Sądziłam także, iż podtytuł „Warsztat Młodego Teatru” może w praktyce przynieść wybitnie aktywny udział przywódców grup artystycznych wszelkiego autoramentu oraz teoretyków spoza sfer wyłącznie uczelnianych. Skwapliwie tedy odnotowałam zakres działalności pięciu „warsztatów” VIII LWT...

Otóż w rb. zaprojektowano na „Wiosnę” aż 12 owych warsztatów i chyba cieszyć by się należało z przybytku, gdyby nie to, że właśnie od zaprogramowania takiej obfitości zaczyna zagrażać 9 LWT — proszę mi wybaczyć — lakiernictwo. W prospekcie 9 LWT czytamy m. in.:

Główne założenie LWT „WARSZTAT MŁODEGO TEATRU”... stanowi punkt centralny zainteresowań organizatorów i uczestników Festiwalu (rozstrzeżenie moje — M. B. R.). „WARSZTAT MŁODEGO WIDZA” przyjmuje hasło robocze „OD IDEI DO REALIZACJI” i skupi się na zagadnieniach analizy poszczególnych elementów przedstawienia teatralnego (analiza tekstu; problemy

gry aktorskiej; gest, mimika, głos, ruch sceniczny; budowanie przestrzeni — architektura spektaklu; muzyka i ilustracja dźwiękowa; formy audiowizualne — praktyczne wykorzystanie itp.). Hasła „Człowiek jako instrument teatru” i „MAGNETYZM PRZESTRZENI” stwarzają szerokie tło do poszukiwań i eksperymentu artystycznego, które to cele warsztatu w pełni są akceptowane. Poza specjalnie wybranymi przedstawieniami o dużych walorach poznawczych pokazywanych szerokiej publiczności w nurcie PREZENTACJE, wszystkie pozostałe spektakle powinny stanowić

material do analizy i dyskusji w gronie uczestników WARSZTATU...

Brzmi to na pewno bardzo atrakcyjnie, lecz zważmy, że poza 12 warsztatami, których zajęcia prowadzono od g. 10 do 14, zaprojektowano seminaria i dyskusje na godziny popołudniowe, przeznaczone jednocześnie dla „prezentacji” 16 grup teatralnych, oraz dla imprez towarzyszących (siedem), nie mówiąc już o „akcjach” (grupy „Od Nowa” w sali gimnastycznej WSN i „Premedytacja” w Galerii „Labirynt”). A więc jeśli to wszystko się podliczy, to jasną się stanie rzecz, iż uczestnictwo w zajęciach warsztatowych (nawiasem mówiąc — obowiązkowe pod rygorem niewypłacenia kosztów podróży itd.) — że całe te prace warsztatowe mogły być dla poszczególnych osób jedynie bardzo a bardzo dorywcze, a przeto owe warsztaty nie mają dla wiosny studenckiej takiej wagi, jak by to sugerowała ich mnogość i frapujące tytuły, których z braku miejsca tu nie przytaczam.

Oczywiście mówię to wszystko biorąc sprawę na chłopski rozum, nie widziałam zajęć warsztatowych ad oculos: poinformowano mnie bowiem w biurze prasowym Festiwalu, że prowadzący grupy nie zyczą sobie obserwatorów (zaskoczyło mnie to cokolwiek wobec popularnej dziś koncepcji teatru wspólnoty), że zajęcia otwarte odbędą się wyłącznie w rannych godzinach ostatniego dnia Festiwalu. Wykalkulowałam sobie, uwzględniając kolizję godzin, iż będę jednak mogła obejrzeć trzy specjalnie interesujące mnie warsztaty. Cóż kiedy dwa nie odbyły się... z powodu braku frekwencji. Zniechęcona, zrezygnowałam z „przelotu” na trzeci.

Organizatorzy 9 LWT winni są nam dokładne cyfrowe dane dotyczące frekwencji na poszczególnych warsztatach, skoro kładli taki nacisk na ich znaczenie. Dyskusja zamakająca (dość niemrawa) nie dała zadowalającej odpowiedzi na to pytanie. Gotowiśmy tedy przyjąć do wniosku, że efekt z warsztatami raczej osłonił niepokojący fakt, iż Lubelska Wiosna Teatralna straciła nieco na popularności wśród przybywających na nią przedtem wybitniejszych ST. Oczekujemy zatem liczb i innych konkretnych w 4 numerze Biuletynu 9 LWT, horrendalnie opóźnionym, jak zresztą był i nr 3.

W tym miejscu muszę poddać krytyce bez lakiernictwa grzecznościowego biuro prasowe 9 LWT, z którym wyjątkowo trudno było w tym roku nawiązać kontakt. Widocznie liczni jego członkowie wyżywali się w mozolnym tworzeniu wzmiankowanego Biuletynu, zawierającego, miast liczniejszych rzeczowych informacji, zakalcowane i „sansfaconiaste” recenzjki (niby — „między nami kolegami”), sporo mętnawych medytacji parafilozoficznych tudzież dowcipasy dla „samych swoich”.

Słyszało się „w kuluarach” zdanie, iż nie ma na 9 LWT dawnej atmosfery. Dlaczego? „Atmosfera” należy oczywiście do imponderabilii, ale imponderabilia też tworzą ludzie. Kursują uporeczywie pogłoski (plotki?), jakoby spiritus movens lubelskich „wiosen” teatralnych, Andrzej Rozhin, miał objąć stanowisko dyrektora teatru zawodowego, może więc w czasie 9 „wiosny” myśli jego szybowyły hen poza Lublinem, na czym musiała niemało ucierpieć organizacja festiwalu.

Organizatorzy 9 LWT winni są nam dokładne cyfrowe dane dotyczące frekwencji na poszczególnych warsztatach, skoro kładli taki nacisk na ich znaczenie. Dyskusja zamakająca (dość niemrawa) nie dała zadowalającej odpowiedzi na to pytanie. Gotowiśmy tedy przyjąć do wniosku, że efekt z warsztatami raczej osłonił niepokojący fakt, iż Lubelska Wiosna Teatralna straciła nieco na popularności wśród przybywających na nią przedtem wybitniejszych ST. Oczekujemy zatem liczb i innych konkretnych w 4 numerze Biuletynu 9 LWT, horrendalnie opóźnionym, jak zresztą był i nr 3.

Pokrewna w swych treściach, lecz całkiem odmienna w stylu, była ascetyczna kompozycja „Pleonazmus”, wywodzącego swój rodowód z twórczości Mirona Białoszewskiego. Zadnych dekoracji, jedyny rekwizyt — świeca, najważniejszy środek przekazu — ciało aktora, jakże wywyczone we współdziałaniu z ciałami kolegów. Ta „Straż pożarna...” jest bardziej rozbudowana ruchowo niż „Szość samojedna”, ale też czytelna. W ogólnych zarysach. Toteż cenić należy pomysł SZSP i Rady Uczelnianej Uniwersytetu Jagiellońskiego, których sumptem opublikowano piękny program ułatwiający rozszyfrowanie poszczególnych działań spektaklu.

Świetne świadectwo profesorom swej uczelni, z Jerzym Krasowskim włącznie, wystawili studenci IV roku PWST w Krakowie wykonaniem scen z „Thermidora”. Widziałam ten dramat parę lat temu na jednej ze scen zawodowych i, gdyby nie Bista w roli Robespierre'a, zanudziłabym się na śmierć. Tym razem dyskusja zaprawiona psychicznymi odruchami osób (co za mimika, co za gest, co za różnorodność sytuacji) nabrała barw aktualnego życia (jednak przydaje się na coś ta wyklina dziś w teatrach psychologia).

# O wiosnie bez lakiernictwa

Maria Bechcyc-Rudnicka

Druga supozycja względem braku „atmosfery”: wydaje mi się, acz wygląda to na paradoks, że właśnie wspomniana mnogość warsztatów — niewątpliwie przedobrze — niejako dezintegrowała tegoroczną „wiosenną” publikę, dzieląc ją na „warsztatowców” i „szeroką publiczność”. Obawiam się, iż wbrew pozorom imponującej pracy warsztatowej, 9 LWT została „przegadana”, rozszczępiona na drobne grupki.

Zresztą (ja ciągle o „atmosferze”) czyż mogła być wysoka temperatura na festiwalu, który oferował niewiele „prezentacji” wznoszących się ponad przeciętność? A przecie właśnie prezentacje powinny stanowić „punkt centralny zainteresowań uczestników festiwalu”, a nie „warsztaty”, bo warsztat zespoły studenckie muszą mieć w swojej siedzibie. Przynajmniej rację powiedzibku ludowemu: „Jakoś się nie najadł, to się do syta nie naliziesz”. Festiwal to nie kursokonferencja, to konfrontacja, emulacja, konkurs (tak, konkurs i najlepiej po dawnemu z wyróżnieniami).

Tyle w sprawie zasadniczej, w sprawie samej koncepcji 9 LWT. Teraz parę krótkich informacji o „prezentacjach” 9 LWT, które w kontekście założeń organizatorów wypadły tym razem mniej atrakcyjnie.

Z widzianego przeze mnie zestawu najbardziej udatne okazało się przedstawienie „Gongu 2” (już niemal „tradycyjnie”), który powtórzył na 9 LWT pokazane na poprzedniej „Wiosnie” Bryllowe „Zycie jawą” w reżyserii i scenograficznej oprawie Andrzeja Rozhina, z muzyką Jana Pileckiego. Refleksje Brylla nad mechanizmem wła-

Podobała mi się młoda stażem „Warszawska Grupa Teatralna”. Jej „Fragmenty z życia rodziny”, zrealizowane prostymi środkami, ze szczególnym zaangażowaniem w dramatyczną sprawę pokoleń, były przejmujące.

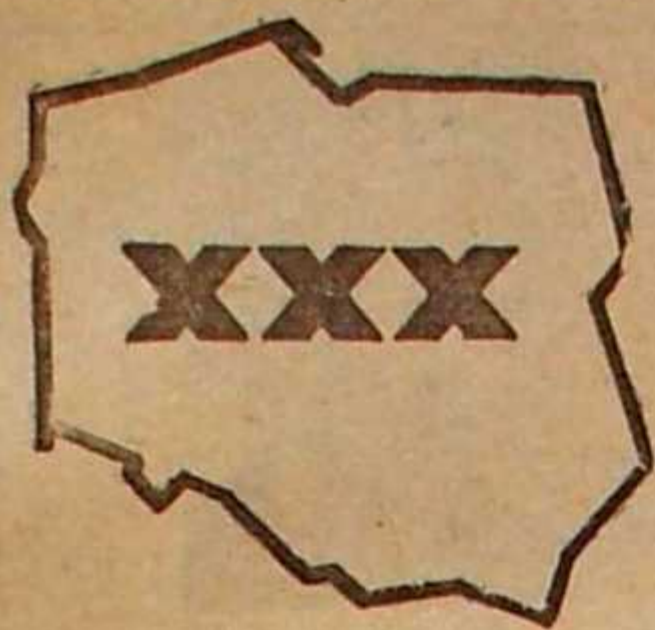
Grupa „Kontrast” przy AWF w Warszawie, w pierwszej części pokazu, mającej charakter ćwiczebny, wykazała się godziwymi osiągnięciami. W części zatytułowanej „Wizje” próbowano „wytańczyć” muzykę Beethovena, Rachmaninowa. Lecz to, co udawało się bezbłędnie Isadorze Duncan, zawodzi często u jej późnych wyznawców. Zyczymy jednak sympatycznym adeptom Studia Tańca Nowoczesnego — możliwego udoskonalenia ich osiągnięć.

Na głęboki szacunek zasługuje praca Olsztyńskiej Pantomimy Głuchych pod kierunkiem Bohdana Głuszcza. Sam spektakl „Apokalipsis” był może nieco rozwlekły i monotony, lecz technika pantomimiczna — godna uznania.

Jak zawsze, celujące widowisko zaprezentował Leszek Mądziak z AT KUL. Jego „Ikar” jest pełen poezji. Urzekająca wizja plastyczna, idealnie zharmonizowana z piękną muzyką Stanisława Dąbka.

Warto jeszcze wspomnieć, że zdobycie dla Lubelskiej Wiosny Teatralnej interesującego zespołu z Ugandy jest niemałym osiągnięciem organizatorów imprezy, na czele której wolam „Ad multos annos!”... Tylko zmodyfikujcie trochę „Droży”, tegoroczną koncepcję. I oby studenckie zespoły teatralne wyzbyły się szerczącego się ostatnio snobizmu artystowskiego a zwłaszcza sekiarskich transów (jaskrawy przykład: „Zagrożone konie” wrocławskiego „Misterium”).





# ODŁOGI I BEZDROŻA

Alojzy Sroga

**T**O był wtorek, 28 sierpnia 1945 roku. Po powrocie z frontu nasz 7 Kołobrzeski Pułk Piechoty stacjonował na Majdanku.

Cale nasze żołnierskie życie — jeśli rzecz jasna nie wyjeżdżaliśmy poza Lublin — koncentrowało się w obrębie baraków i sąsiednich pól. Trudno mi dziś uzmysłowić sobie, od kogo tego dnia dostałem ową gazetę — „Gazetę Lubelską”. Towarzyszył temu bodaj komentarz:

— Patrz, piszą o tobie!  
I bym nie prześlepił — a wzrok miałem wówczas sokoli — zielonym kolorem postawił ktoś dwie krechy: poziomą i pionową.

Wiadomość — dwuszpaltowa — głosiła: *Powiat lubelski święci zakończenie żniw — Święto dożynek w Dominowie.*

I dalej w treści, w treści była mowa o tym, jak to przemawiał oficer WP ppor. Sroga: *W krótkich słowach scharakteryzował szlak bojowy i pomoc wojska w zasiewach, a szczególnie w żniwach.*

Dodam, że powodem tego wystąpienia przedstawiciela wojska był udział i pułku i mojej kompanii w żniwach, właśnie w Dominowie. Przechowałem ten egzemplarz gazety. Sięgnąłem teraz do niego. I oto konstatacja — to nie tylko współcześnie tak dużo mówimy i piszemy o sprawach wsi, rolnictwa.

W owym numerze „Gazety Lubelskiej” większość trzeciej kolumny (jak powiadają drukarze i dziennikarze), albo jak powiada zwykły czytelnik — trzeciej strony — poświęcona była właśnie tematyce wiejskiej. Dwuszpaltowa duża wiadomość:

*Odniesienie bohaterów wsi Lubelszczyzny.*  
Natomiast główna pozycja na tej kolumnie stanowi i dziś cenne źródło wiedzy o tamtych czasach. *Zebrałiśmy nasze plony — Zjazd rolny woj. lubelskiego.*

Odbył się ów zjazd 24 sierpnia (refleksja: nie za szybko jednak o nim informowano, dopiero po czterech dniach).

Oceniano pracę w polu. Mówiono o braku sprzężaju, ręk do pracy, przypominano, że siewy wykonano późno, a lato znacząco się licznymi burzami gradowymi.

*Przewidywane tegoroczne zbiory w południowych powiatach są następujące: żyta 8—10 q z ha i pszenicy ponad 10 q z ha. Wydajność owsów i jęczmieni sięgać będzie 15 q z ha.*

I wiele, wiele radujących żołnierskie dusze określeń w rodzaju:

*„Należy stwierdzić, że dobre wyniki prac rolnych w okresie letnim zawdzięczamy wydatnej pomocy wojska. „Zgodnie stwierdzono, że najlepszą pomocą dla naszego rolnictwa jest współpraca z wojskiem.*

*„Zebrani wyrażają pod adresem żołnierzy jednostek, które brały udział w przeprowadzaniu żniw — gorące podziękowanie.*

I prośba — o jeszcze „przy przeprowadzaniu jesiennej akcji siewnej, głównie przez dostarczenie koni do wykonania niezbędnych upraw.

Jak wiem, nie zabrakło tych wojskowych koni jesienią roku 1945 na chłopskich polach, głównie parcelantów.

Sprawy wsi były zresztą oczkiem w głowie Wojska Polskiego. Właśnie w Lublinie, po powrocie z frontu, nastąpiło jakby reaktywowanie dywizyjnej gazety. Przed rokiem ukazywała się pt. „Na zachód”, zlikwidowano ją prawdopodobnie dlatego, iż drukarnia była potrzebna dla innej gazety, większego związku (może 2 armii, może 1 korpusu pancernego? nie wiem).

Teraz — latem roku 1945 — zaczęła się ukazywać co tydzień żołnierska gazeta „Trzecia Pomorska”. Byłem jej współpracownikiem, temu też pewnie zawdzięczać należy, iż jestem jednym z nielicznych w Polsce posiadaczy kilku kolejnych egzemplarzy „Trzeciej Pomorskiej”.

I gdy teraz je przeglądam, uderza mnie fakt, że oprócz opisu jeszcze ciągle czynów bohaterów, frontowych, oprócz relacji z bieżącego żołnierskiego życia — najwięcej pisano właśnie o tym, jak poszczególne kompanie, bataliony pomagają w żniwach. Jak — najdosłowniej — poddawano karabiny, a chwycano za kosy.

Właśnie — kosy. One jeszcze długo, długo decydowały...

Aż — 117

Dokonałem małego przeskoku w czasie, by lepiej zrozumieć nasz punkt startu w rolnictwie.

„Polska Zbrojna” z dnia 10 maja 1947 roku w zbiorczej rubryce „Sprawy gospodarcze” zamieściła taką wiadomość:

*Pierwszy traktor polskiej produkcji.*  
Rzecz jasna wyprodukowany w Ursusie, w kwietniu 1947 roku, o mocy 45 koni mechanicznych.

„Sztandar Ludu” z dnia 3 sierpnia 1948 roku. Pisałem wtedy w artykule *Całkowita likwidacja odłogów w województwie lubelskim m. in. tak:*

*W czasie wiosennej akcji siewnej w roku bieżącym brało udział 117 traktorów, będących w dyspozycji Państwowych Nieruchomości Ziemiskich i Związku Samopomocy Chłopskiej.*

117 traktorów na całej Lubelszczyźnie...

W dwa dni później, bodaj w agencyjnym artykule, „Sztandar Ludu” donosił: *W Płockich Zakładach Przemysłowych polscy konstruktorzy i robotnicy wyprodukowali prototyp nowoczesnej żniwiarki. Obecnie, pierwsza ich seria — 15 sztuk jest podawana próbom w terenie.*

Tyle — z zakresu wyposażenia polskiego rolnictwa w pierwszych powojennych latach. Start — niemal z zerowego punktu.

## Orka z karabinem

Pocieszałem czytelników (ale pewnie i siebie), że teraz jest znacznie łatwiej, bo więcej już koni, bo więcej (? — ten znak zapytania stawiam dziś) traktorów, ale przecież nie dopowiadaliśmy wówczas w prasie owej podstawowej myśli.

Ciągle tliły się na południu i na wschodzie województwa ogniska wojny domowej. Huczały nocą, a bywało, że i dniem strzały oddawane przez faszystowskich pogrobowców z UPA — w Hrubieszowskiem, Tomaszowskiem, Włodawskim. Traktorzyści jeździli z karabinami przewieszonymi przez plecy. W kieszeniach nosili granaty. Pierwszą grupę traktorzystów, skierowanych do likwidacji odłogów w Hrubieszowskiem, dobierano niezwykle starannie, wśród uczniów ... łódzkiej szkoły partyjnej. Liczyli się bowiem w owych latach nie tylko umiejętności prowadzenia maszyny, ale także i hart ideowy.

Pamiętam, już z lat późniejszych, lata 1950-51 gdy na hrubieszowskich polach PGR kłóciłem się z traktorzystami o ich nie najlepszą organizację pracy (jeździło kilka traktorów jeden za drugim; uszkodzenie pierwszego powodowało postój wszystkich). Wtedy któryś z nich wypowiedział pół żartem myśl:

— Panie, ale w grupie weselej!  
— I ... bezpieczniej — uzupełnił inny, już całkiem serio.

Ba, to młodym mieszkańcom Lubelszczyzny trzeba przypominać ów fakt, my go doskonale pamiętamy: toż jeszcze w roku 1951 banda „Żelaznego” zamordowała w powiecie włodawskim przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej, człowieka ogromnie popularnego, prawego, nauczyciela z zawodu, Ludwika Czugałę.

Takie to były owe realia i preliminaria lubelskiej wsi, w takich warunkach posuwała się, to prawda — powoli, ale stale — likwidacja odłogów. Dla podziemna oranie odłogów to była także wielka polityka i „wysługiwanie się komunistom”.

A jednak w wyniku tego właśnie uporu jesienią 1948 roku można było znieść kartkowe zaopatrzenie na chleb i mąkę.

Nie tylko wszakże istnienie odłogów mąciło sen działaczom i rolnikom.

## Oplotki i „okopy”

Wspominany już „Sztandar Ludu” z 3 sierpnia całą trzecią stroną (jak zresztą wówczas co dnia) poświęcił różnym rolniczym troskom. Popatrzmy na tytuły:

*Gumowe buty ochronią rolników przed epidemią łąkową — to dotyczyło także hrubieszowskiego.*

*Śmierć pod zbożem — wiadomość o tym, jak zginął rolnik we wsi Skłodów Drugi w powiecie krańickim podczas zwózki zboża przed burzą.*

*Uprawa pszenicy i koniczyń dorówna zbiorom przedwojennym.*

I felietonowa pozycja (niżej podpisanego) *Okopy św. Biurokracego — Co tam czas chłopca — grunt, że jest papiera*. To — o Łukowie i o tym, jak przydzielono rolnikom tego powiatu... 50 par butów gumowych. Termin odbioru był bardzo krótki, musieli więc rolnicy porzucać prace żniwne, by odebrać buty. One liczyły się na wagę złota. A butów — mimo zawiadomienia — nie było.

Grzmiałem sierzniście, srogo na biurokratów. I z ręką na sercu — o to poszanowanie rolniczego czasu, może w innym wymiarze, na innych przykładach, toczę bój od lat... dwudziestu sześciu. Żeby to sprawiło mi taką szczególną satysfakcję — nie powiem.

Warto także i ten szczegół odnotować, by pełniej zrozumieć, przez jakie oplotki i okopy prowadziły nasze drogi trzydziestolecia. Przez wojnę domową i... biurokracyzm.

Także — przez bezdroża. Gdy czytam teraz te różne, stare wiadomości z Hrubieszowskiego i Łukowskiego, uświadamiam sobie z całą wyrazistością, iż w większości do opisywanych wsi przebiegały się plechoty owe 10—12—16 kilometrów. Torba polowa przez plecy i — hajda! Nie było PKS-u, bo nie było bitych dróg.

— Och, to blisko. Do stacji mamy tylko sześć kilometrów — pocieszano mnie czasem. Rzeczywiście, bez ironii — pocieszano.

Proszę spróbować dzisiaj takiego pocieszania. Mieści się tylko w kategoriach archiwalnych!

Janusz Styczeń

## EGZEGEZA OBRAZU MIRY ŻELECHOWER

ten to rozumie  
kto przeżył wielką gorączkę podróżną:  
— z ciągłego lęku że za późno  
dawaliśmy swoje głowy powietrzu  
w którym otworzyła się błękitna rana  
wypełniona po brzegi niebieskim światłem  
i stąd gorączka zwiększała się —  
ten kto to rozumie  
chce bardziej wcielić wewnętrzny obraz:  
— robiliśmy pewne numery na przykład  
jeden z nas oświadczał całkiem serio:  
— zaczynam rozumieć malpy —  
piliśmy z tej błękitnej rany  
i sprawdzaliśmy czy każdy z nas  
zarówno jest oryginalnością jak i rzeczywistością —  
ale i to wcielenie nie zadowala  
tego kto to rozumie  
on wciela ów obraz jakby robił próbę głębi  
a nawet jakby popelniał faux pas:  
— kto natchnął świętego malarza? —  
tym pytaniem chcieliśmy zakończyć  
okres przeżywania grozy  
udalo nam się: patrzyliśmy na siebie jak sowy  
nasze twarze były tak mądre  
że nic w nich nie widzieliśmy —  
w końcu ten kto to rozumie  
zawierza swoją gorączkę podróżną niebieskiemu

ptaszekowi  
który siada mu na ramieniu w życzliwym dniu  
gdy udalo mu się nagromadzić odpowiedni zestaw  
przymiotników

by nie pozwolić sobie w życiu na starość  
i z tej radości mówi do zegarka:  
— ty inwalido czasowy —  
niebieski ptaszek uśmiecha się typowo ptasim  
niewyrażalnym uśmiechem zimowym  
ten kto spotkał w życiu samego Breughla  
to rozumie  
i rozumiejąc mówi teraz: —  
— Miro Zelechower ach przestań już malować  
bo my wszyscy z twojego obrazu  
czyli z naszego tak wewnętrznego obrazu  
że na tej podstawie jesteśmy samym życiem  
właśnie w tej chwili bezradnie otwieramy usta:  
— czy nie mamy suflera i jesteśmy tak całkiem na  
bieżąco? —  
Miro Zelechower nie maluj! nie maluj!  
co będzie gdy znajdziemy się w jednej z toba  
tonacji? —



Z majowej wystawy Indywidualnej w Salonie Krytyków BWA w Lublinie. Prace Miry Zelechower-Aleksy. a.

(Fot. Jan Bartkiewicz)

Kamena str. 11



**K**SIĄZKA Stanisława Jedynaka („Etyka i socjalizm”) jest pierwszą na gruncie polskim próbą całościowego przedstawienia zasad marksistowskiej etyki normatywnej. Stwierdza on, że jest to próba również interesująca i udana jak potrzebna. Nie sposób z uznaniem nie zauważyć ogromnego bogactwa problematyki zawartej w omawianej książce — wynika to zresztą z jej całościowych ambicji. Zważmy, że autor, a wynika to z przejrzyście z toku samego wywodu, ma nade wszystko na względzie oddziaływanie społeczne, praktyczne swojego dzieła.

W przekonaniu Jedynaka, chętnie i przez nas podzielanym, kultura moralna wywodzi się ze społecznego sposobu istnienia człowieka. Wbrew jego przekonaniu chcielibyśmy jednak podkreślić, że naszym zdaniem podstawowe elementy kultury moralnej mają charakter uniwersalny; kształtowały się one historycznie, ale zasadniczo, humanistyczna tendencja utrzymywała się i utrzymuje niejako w „ostatniej instancji” sukcesywnie, konsekwentnie i niezmiennie. W tej partii książki Jedynak podejmuje dość obszernie zagadnienie stosowności normy „nie zabijaj” traktując je jako przejaw kultury moralnej, a następnie omawia inną podstawową normę — „nie kradnij”, uzależniając jej stosowanie od klasowego rozumienia własności, by przejść do analizy normy „nie kłam”. W dalszym ciągu pisze o elementarnych uczuciach i normach moralnych związanych z rodziną i wychowaniem w rodzinie.

Etyki zawodowe są przystosowaniem kultury moralnej społeczeństwa do sytuacji szczególnych. Podstawą każdej etyki zawodowej jest, zdaniem autora, „kultura pracy, dobra robota”.

W ramach rozdziału poświęconego ideałom moralnym Jedynak prezentuje przede wszystkim socjalistyczny ideał człowieka. I znowu podkreśla jego zmienność. O ile prawdą jest, że — jak sądzi Jedynak — ideały moralne mają głównie istnienie społeczne, praktyczne, to naszym zdaniem nazbyt wielką wagę przypisuje on ewolucji, zmienności ideałów moralnych w tym i ideału socjalistycznego. Wydaje się, że zasadnicze składowe humanistyczne ideały człowieka socjalizmu wiążą się bez wątpienia z „rzeczywistością społeczną”, ale rzeczywistość tę należy pojmować jako całościowy proces historyczny — odpowiednio i ideały nie są zmienne bezwzględnie, lecz tylko względnie. Autor zdaje się datować narodziny socjalistycznego ideału moralnego na wiek XIX, a w naszym przekonaniu ów ideał ma o wiele odleglejszą tradycję, sięgającą co najmniej starożytności. Chodzi o ideał moralny, występujący nie w teorii, ale w potocznej świadomości ludzi.

W tej samej partii książki przeprowadza Jedynak ostrą, lecz nazbyt skróconą krytykę chrześcijańskiego ideału moralnego, stwierdzając że główny cel człowieka w tej etyce ma charakter irracjo-

nalny, pozaziemski, a wartość naczelna wynika z rozumowemu rozważaniu. Gros aktywności człowieka i w ogóle wszystkie wartości ludzkie kieruje się w tej etyce ku niebu, ku „zbawieniu”, a nie ku sprawom ziemskim”. Dodajmy od siebie, że takie odwracanie się od spraw doczesnych w gruncie rzeczy obiektywnie utwierdza istniejącą postać ziemskiego świata człowieka, a niektóre sily „doczesne” są w propagowaniu tego rodzaju postaw jak najbardziej zainteresowane.

W dalszym ciągu Jedynak pisze o pozycji ideału moralnego Bolesława Prusa oraz o niezależnej od religii etyce

socjalistycznego: sprawność, gospodarność, dobrą robotę. Zdaniem Jedynaka i one są wartościami w znaczeniu moralnym, wzmagała inicjatywę społeczną i wytrwałość oraz konsekwencję w działaniu.

W przekonaniu autora również stosunek do pracy należy traktować jako zasadę etyczną. Stosunek do pracy wpływa w sposób widoczny na moralność całych społeczności — np. społeczność górnośląska. Naszym zdaniem tę część książki należy uznać za najlepszą, najcelniejszą.

Kolejny fragment omawianej książki poświęcony jest socjalistycznemu kolek-



Stanisław Jedynak

Kolejnym przykładem tej ostatniej umiejętności są również stronicie poświęcone zagadnieniom patriotyzmu, internacjonalizmu i ojczyzny. Patriotyzm autor traktuje jako rozwinięcie i rozszerzenie zasady kolektywizmu, zaś internacjonalizm jako dalszy krok na tej drodze; internacjonalizm nie jest możliwy bez patriotyzmu.

Naturalnym niejako przedłużeniem tego wątku rozważań jest rozdział następny, poświęcony problemowi wojny i pokoju. Autor traktuje pokój i jako jedną z wartości etyki humanistycznej i jako warunek umożliwiający realizację wszystkich innych wartości.

Na zakończenie pierwszej, zasadniczej części książki wraca autor do spraw codziennych, stwierdza, że szczęście wszystkich ludzi jest głównym celem etyki socjalizmu. Samo szczęście polega zaś, jego zdaniem, na zaspokojeniu istotnych i ważnych interesów i potrzeb człowieka, przy czym stopień owego zaspokojenia winien być sukcesywnie podnoszony. W dalszym ciągu autor pisze, że szczęście nie jest możliwe bez twórczej aktywności człowieka, bez satysfakcji z wykonywanej pracy oraz bez zespolecia interesu prywatnego z interesem społecznym.

Treść zakończenia stanowi szkic teorii etycznej marksizmu, w którym autor przedstawia przede wszystkim generę i rozwój moralności jako formy świadomości społecznej, jak również związek moralności z niektórymi innymi formami świadomości społecznej jak: polityka, prawo, sztuka, religia, i nauka.

Reasumując: Jedynak nie prezentuje normatywnej etyki marksizmu w separacji od teorii materializmu historycznego. Z książki wynika, że normy moralne nie tylko odnoszą się do społecznej rzeczywistości, lecz również z niej się wywodzą.

Stanisław Jedynak, Etyka i socjalizm, Instytut Wydawniczy CRZZ, Warszawa 1974, s. 260.

## PRÓBA MARKSISTOWSKIEJ ETYKI NORMATYWNEJ

Kazimierz Wiliński

społegliwego opiekuństwa Tadeusza Kotarbińskiego. Następują wnikliwe uwagi dotyczące wpływu etyki socjalistycznej i praktyki moralności socjalistycznej na moralność katolicką, poprzedzającą krytykę egzystencjalistycznego ideału człowieka. Zdaniem Jedynaka egzystencjalistyczna krytyka kapitalizmu stanowi w gruncie rzeczy napaść na określone stereotypy świadomości, napaść tyle gwałtowną, co nieszkodliwą dla praktyki materialnej życia społecznego.

Za naczelną wartość etyki socjalistycznej uznaje Jedynak konkretnego człowieka i jego szczęście. Składową tej wartości jest m.in. moralnie znacząca praca, praca wolna i twórcza, będąca autentyczną potrzebą jednostki. Do ideału socjalistycznego należą również, zdaniem autora, takie wartości, jak: wolność, równość, braterstwo, sprawiedliwość, przyjaźń, ojczyzna, pokój, tolerancja i poszanowanie poglądów innych ludzi. Ideał socjalistyczny nie może być wprowadzony — jak w etyce katolickiej — do wymogów perfekcjonizmu izolowanej jednostki, do licznych i wciąż mnożonych nakazów i zakazów. Łączy on harmonijnie dobro i szczęście jednostki z pomysłowością i sprawnością społeczną.

W rozdziale następnym autor omawia warunki skuteczności realizacji ideału

tywizmowi i kształtowaniu nawyków zespołowości działania. Jedynak podejmuje tu próbę określenia humanizmu socjalistycznego, który definiuje jako „traktowanie innego człowieka jako celu, jako wartości najwyższej”, co nie da się pogodzić z postawą religijną.

Sprawy stanowiące przedmiot dalszego ciągu wykładu są bardziej znane, częściej powtarzane. Dlatego też zwrócimy uwagę tylko na miejsca najbardziej charakterystyczne. Jedynak bardzo słusznie stawia wolność do czegoś wyżej od wolności od czegoś. Rzeczywiście, wolność do czegoś zakłada człowieka jako podmiot uniwersalny, moralny, wolność od czegoś zaś traktuje go raczej jako istotę jednowymiarową, polityczną. Jedynak nie uważa jednak, że wolność do czegoś z reguły poszerza sferę wolności od czegoś; nie są to naprawdę dwa różne rodzaje wolności — drugi stanowi w gruncie rzeczy aspekt, stronę pierwszego.

Budzi uznanie odrzucenie przez Jedynaka równościowej koncepcji sprawiedliwości; przypomnijmy za autorem rozważanie Marksa o nierówności (niesprawiedliwości) równościowego prawa zawarte w Krytyce programu gotajskiego. Jedynak kojarzy tu trafnie teorię z praktyką społeczną. **Wydawnictwo Książki**

## Spod Krasnegostawu do Maroka (II)

# NAUCZYCIELKA ROZKOSZY

Wojciech Sulewski

**W** MAJU roku 1673 opuścił port w Kaffie żaglowiec należący do Ahmeda Szanby. Wiatr był sprzyjający, więc okręt parł szybko na południe: jego kapitan chciał zbliżyć się do tureckich brzegów i w ten sposób uzyskać osłonę przed grasującymi na Morzu Czarnym czajkami Dońskich Kozaków. Na pokładzie i ładowni okrętu znajdowało się ponad dwieście niewolników i niewolnic, których Szanba wioził na dalekie targowiska. Mężczyźni byli skuci łańcuchami i zamknięci w ładowni, kobiety bez pęt siedziały w oslonionych daszkami drewnianych klatkach, ustawionych na pokładzie żaglowca. W jednej z nich znalazła swoje miejsce szlachcianka z Maszowa.

Nie napotkawszy kozackich czajek, okręt z Kaffy dotarł do tureckich wybrzeży i skręcił na zachód. Przepłynął cieśniną Bosfor, wszedł na Morze Marmara, skąd Dardanelami wypłynął na Morze Egejskie. Celem dalekiej wyprawy Ahmeda Szanby było Maroko, gdzie spodziewał się osiągnąć wysokie ceny za swoich niewolników i niewolnice. Zanosił też modły do Allacha prosząc go, aby jego statek nie napotkał żadnego z weneckich, papieskich, maltańskich lub hiszpańskich okrętów wojennych, których tak wiele pływało po Morzu Śródziemnym. Allah wysłuchał próśb swego sługi i żaglowiec z Krymu pomyślnie kontynuował podróż. Przez Cieśninę Gibraltarską wypłynął na Ocean Atlantycki i pożeglował dalej wzdłuż marokańskich wybrzeży. Podróż zakończył w porcie Es-Sawira, należącym do potężnej dynastii władców Maroka itawitów.

Pani z Maszowa dobrze zniosła podróż morską, a gdy żaglowiec Ahmeda Szanby zatrzymał się w trypolitańskich i algierskich portach, przyglądała się ciekawie stojącym obok okrętów. Dziwiło ją niepomiarnie, że „pogan tyłu na tym świecie Pan Bóg ustanowił, a poniekąd czarkiem czarnych, tylko zęb zęb im błyska”.

W Es-Sawira wylądowano Siwińską z okrętu i razem z innymi niewolnicami zamknięto w domu, który tatarski handlarz „żywym towarem” specjalnie w tym celu wynajął, sprawdzisz uprzednio, czy okna w nim są dobrze okratowane. Nie siedziała tam zresztą długo. Już pod koniec lipca, gdy tylko dobrze wypaczła po trudach podróży, znalazła się razem z innymi kobietami na podwyższeniu z desek, ustawionym po środku targowiska niewolników. Obok jakiś handlarz ustawiał na podobnym

podwyższeniu skutych łańcuchami Murzynów, schwytych podczas „polowania na stonie” aż nad Nigrem. Siwińska, choć sama przeznaczona na sprzedaż i pozbawiona całkowicie szatek, przyglądała się z zainteresowaniem wręcz posagowym figurom mężczyzn z plemienia Songhajów. Cechowała ją bowiem „niemożliwa ciekawość wszystkiego”, jak wyzna po wielu latach zaufanemu kanonikowi z Tarnogóry.

Dostojna Kinda, pani z możnego rodu Ibn Hazm, do którego od niepamiętnych czasów należało wiele ziem uprawnych, winnic i palm daktylowych, położonych wokół Es-Sawira, wsadła do lektyki i kazała się zanieść na targowisko niewolników w sprawie konkretnej, acz dość delikatnej. Chciała bowiem kupić kobietę, która nadawałaby się na „nauczycielkę miłości” dla jej bratańca Seida Ibn Hazm. Ukończył on właśnie osiemnaście lat i miał powrócić do domu na wakacje ze szkoły wojskowej w Fezie. Said nie znał jeszcze kobiety, więc ciotka rządząca dworem Ibn Hazm, postanowiła mu kupić odpowiednią nałożnicę. Uważała bowiem, że ani wśród służby dworskiej, ani w ogrodach i kuchniach nie ma kobiety, która mogłaby sypiać z Saidem.

Dostojna Kinda przyjrzała się dobrze wystawionym na targu niewolnicom i wybór jej padł na Siwińską. Była wysoka, tęga, dobrze zbudowana i — jak oceniła marokańska dama — w wieku najlepszym na „nauczycielkę miłości” dla młodego chłopca. Nie targowała się więc o cenę z Tatem i gdy wróciła do pałacu, służący prowadził za nią nową niewolnicę owiniętą szczerle w szary burnus. Pani z Maszowa miała się stać nałożnicą marokańskiego młodzieńca, choć naturalnie nie o tym nie wiedziała. Na razie była niezmiernie zaskoczona tym, że kupiła ją kobieta i to bardzo interesująca się jej ciałem.

Zanim Said wrócił do uroczego pałacu w ogrodach pod Es-Sawira, dostojna Kinda tresowała starannie Siwińską, przygotowując ją do roli, jaką jej wyznaczyła. Stara, bułgarska niewolnica, z pałacowego ogrodu, wytłumaczyła Siwińskiej na żądanie pani, co ją czeka. Reszty dokonała Kinda podczas długich godzin turestry. Uczyla się więc Siwińska chodzić w długich, całkiem szczelnych, ale za to zupełnie przezroczystych szatach, opanowywała trudną sztukę umiejętnego zrzucenie ich na rozkaz i przybierania przy tym postawy pełnej pokory i oddania. Kinda często chwytła za bat i biła niewolnicę, nie zważając na jej płacz i prośby. Takiej chłosty, jak od Kindy nie dostawała Siwińska od żadnego ze swoich właścicieli,

Skłoniło ją to później do syntetyzującej uwagi, że kobiety były znacznie surowszymi właścicielkami dla swoich niewolników, obójtnie mężczyzn czy innych kobiet, niż mężczyźni, zwłaszcza młodzi.

Said Ibn Hazm powrócił do domu w jakiś miesiąc od chwili, gdy szlachcianka z Maszowa została marokańską niewolnicą. Siwińska podobała mu się bardzo, ale w pierwszą noc, którą z nią spędził, był jeszcze bardzo delikatny i nieśmiały. Przejęła więc Wanda inicjatywę w swoje ręce, korzystając ze wszystkich nauk, jakie otrzymała od Kindy. Dopiero później jej młody pan zaczął się zachowywać jak niedźwiedź, który się dorwał do miodu. „Nie było to jednak najgorsze z tego, co musiała przeżyć” — napisze kiedyś pani z Maszowa. Starsta się ona zresztą rozmyślić dać piętnaście lat młodszemu od siebie paniczowi wiele rozkoszy, ażeby w ten sposób zdobyć sobie jego łaski i zapewnić pierwsze miejsce wśród innych nałożnic, które młody Ibn-Hazm będzie niezawodnie posiadał.

Lata spędzone w haremie u Saida, wśród dywanów, mozaik i szmerzących fontann, byłyby dla Siwińskiej w ogóle żośne, gdyby nie Kinda obawiająca się spoufalenia niewolnicy z młodym panem. Stąd chłosta wymierzana Wandzie przy łada okazji oraz inne niewolnice podsuwane przez ciotkę Saidowi.

Kiedyś dostojna Kinda udala się w daleką podróż do Tunisu i wróciwszy przywiozła bratańcowi żywy prezent, niemiecką mniszkę, którą Tatarzy schwytyli gdzieś na ziemiach cesarskich. Podczas podróży Kinda starała się „oswoić” nową niewolnicę z czekającymi ją obowiązkami garbując jej batem skórę: w rezultacie dawna Beata była przerażona i gotowa na wszystko. Said bardzo się nią zainteresował i kazał na najbliższą noc przyprowadzić ją sobie do sypialni. Siwińska, która z innymi kobietami odkurzała strusimi piórami dywany w przyległej komnacie, słyszała dochodzące zza ściany łkania i płaczące prośby. Umilkły one jednak pod odgłosem rozgą, którymi Said przywołał do posłuszeństwa nową niewolnicę. Beata stała się wkrótce uosobieniem uległości i gorliwości, o czym Wanda miała się możność przekonać, gdyż ich pan brał je czasem obie na całą noc do sypialni. Konkurowała też z Siwińską o względy Saida. Jego „nauczycielka miłości” nie byłaby kobietą, gdyby po latach nie wspomniła zjadliwie, że Beata była „zbyt rozłożysta” i miała „haniebnie wielkie piersi”.

Dokończenie nastąpi



## „Hippiesi”

**P**AN prokurator żądał dwu lat pozbawienia wolności w zamieszczeniu na cztery lata, nadzoru kuratora, grzywny 2000 zł, 20 godzin pracy społecznej oraz zobowiązania do dalszej nauki. Lubelski Zarząd Aptek wnosil powództwo cywilne o zasądzenie od oskarżonych 163,10 zł z 8% zwykłą od dnia 28 VII 1973 roku do momentu zapłaty oraz o obciążenie ich kosztami procesu. Przy przyjętej za panem prokuratorem kwalifikacji prawnej czynu (art. 265 paragraf 1) górna granica zagrożenia wynosi pięć lat pozbawienia wolności za fałszerstwo dokumentów. Sprawa wygląda poważnie, choć nie jest poważna, ale prawo to prawo i istnieją jeszcze względy prewencji ogólnej. Milicja pilnie szukała szerszych kontaktów podejrzanych i też miała swoją rację, bo nigdy nie wiadomo, a przestępstwom trzeba zapobiegać, żeby się ta społeczna zaraza nie szerzyła.

Chodzi o trzy osoby — dwie 18-letnie dziewczyny i jednego 19-letniego chłopaka. Bogusia miała brata, a brat był u hippiesów (tak oni się przynajmniej nazywali), ale brat w tym procesie nie występuje. Bogusia powiada: „Mój brat wpadł w takie środowisko. Podśledzałam ich rozmowę o zażywaniu leków odurzających. Zaczęłam o tym rozmawiać z Alą i sama chciałam zobaczyć, jak to jest...” Alą powiada: „Hippiesi mówili, że są jedną całością: chcą stworzyć warunki swobodnego życia dla młodzieży, sprawy seksualne nie wchodziły do naszych tematów i ja przystąpiłam do tej organizacji, razem z Bogusią...” Smieszna w ogóle historia, bo ci nasi lubelsko-świdniccy „hippiesi” to nieudolna popluczyna po hippiesach warszawsko-krakowskich, a oni znowu nieudolna popluczyna po hippiesach zachodnio-europejskich, którzy zresztą już dawno skończyli ze swoją sprawą i właściwie ich nie ma. Na prowincję wszystko dociera z opóźnieniem.

W sumie sfalszowali trzy recepty (art. 265 kodeksu karnego), dopisując na nich lek oszalamiający. Panie w aptece przy ul. Grażyny nie zorientowały się, choć fałszerstwo było naiwne i dość grubymi nićmi szyte. Zeznaje lekarka, biegła w tych sprawach: „Lek, który zażywali, nie należy do narkotyków, więc nie istniała konieczność sprawdzania dowodów osobistych, nie należy również do środków odurzających, więc nie potrzeba było specjalnej recepty. Jest to lek przeciwko chorobie Parkinsona, w dużych dawkach może mieć uboczne działanie halucynogenne oraz podniecające”. Informacji o takich lekach udzielają młodzieży pielęgniarki, same działające u hippiesów. Czego zresztą smarkacze nie wymyślą! Podobno ktoś wstrzykiwał sobie pastę do podłogi, krople Inoziemcowa ostatnio w modzie.

One zażywały swój „narkotyk” w ogrodzie Saskim w ubikacji, a raz w mieszkaniu rodziny w Bełżycach i po-

tem były jak pijane. Alą zgubiła torebkę z resztą leku, kiedy wracała do Lublina. Miały „zerwany film” i niewiele pamiętają. Przyznają się w całości do winy, one i ten chłopak, który sfalszował jedną receptę. Wszyscy pochodzą ze środowiska robotniczego i to jest nietypowe, bo na ogół chodzi o dzieci z tak zwanych „dobrych rodzin”, dzieci-kwiaty zapracowanych rodziców na stanowiskach. Wszyscy byli uczniami, Alą przed rozprawą sądową zdążyła wyjść za mąż i zająć się ciężką. Nie stosowano środka zapobiegawczego w postaci aresztu. Milicja ustaliła, że po wykryciu przestępstwa cała trójka zaniechała kontaktów z hippiesami, „tryb życia prowadziła średni”, co oznacza, iż nie było z nimi kłopotów wychowawczych w szkole i rodzinie (szkoły zresztą wystawiają wszystkim doskonałą opinię, a rodzina skorzystała z prawa odmowy zeznań), nie zażywali żadnych środków podniecających, odurzających bądź narkotyków, i wszystko cacy.

Sąd dnia 5 IV 1974 roku wydał wyrok skazujący obie dziewczyny na 4000 zł grzywny, zaś chłopaka na 1500 zł grzywny oraz uznał powództwo cywilne Lubelskiego Zarządu Aptek w wysokości 163,10 zł (bo dzieci recepty płatne w 100 procentach „przemieniły” na recepty płatne w 30 procentach). Grzywny są raczej nieściągalne, więc przynajmniej w wypadku dziewczyn kara może się przemienić w 40 dni pozbawienia wolności, a więzienie nie jest najlepszą szkołą wychowania i środki żądane przez pana prokuratora (nadzór kuratorski, o połowę niższa grzywna, obowiązek kontynuowania nauki) wydają się znacznie skuteczniejsze, zaś moim dziennikarskim obowiązkiem jest o tym napisać, choćby się ktoś obraził.

Najciekawszą, aczkolwiek w tej sprawie najmniej winną postacią jest chłopak. Dziewczyny zażywały lek z ciekawości, on „narkotyzował” się od trzech lat przynajmniej raz w tygodniu. Jest w ZMS, z „narkotykami” zapoznał się na... obozie harcerskim. Sprawa w końcu drobna, jeśli chodzi o rozmiar przestępstwa. Gdyby od początku zastosowano paragraf drugi a nie pierwszy odpowiedniego artykułu kodeksu karnego, wszystko mogłoby się skończyć na etapie dochodzenia milicyjnego (umorzonego) i grzywny wymierzonej przez prokuratora. Kto wie, czy w końcu nie lepiej by było. Ale sprawa nie jest blaha z punktu widzenia wychowawczego, choć gdy pada termin „wychowawczy”, młodzież zaczyna płakać, a i mnie słabo się robi.

Tak czy owak jeszcze raz potwierdza się prawda, iż młodym ciągle potrzebne są autentyczne modele wychowawcze, złożone postaci bohaterów, atrakcyjne, prawdziwe i na miarę naszego czasu oraz ustroju.

pom

# Sennik egipski

- 11 -

- Golebia zabijać — strata dobrego przyjaciela
- Gołębnik — zapłaczesz się w miłosne sprawy
- Gołędź — niebezpieczna propozycja
- Gong slyszec — wezwanie na świadka
- Gonić kogoś — nieuchwytny interes
- Gończe psy — sprawa policyjna
- Gorzyc — oszczędność przyniesie ci majątek
- Gorycz — złe samopoczucie, niezadowolenie
- Górnik — nieprzyjemna wizyta
- Góry — trud, który przyniesie ci zysk
- Góry, schodzić — niepowodzenie
- Góry, stać na szczycie — spotka cię triumf, powodzenie
- Góry, szczyty widzieć — zamiary spełnią się
- Góral — podstępny człowiek
- Gościńiec równy — dobre interesy
- Gościńcem jechać — goście w drodze
- Gościńiec błotnisty — przykreść
- Gospoda — podróż z przygodami
- Gospodarz — nowiny, dobre rady
- Gospoia młoda — małżeństwo lub szczęście w małżeństwie
- Gospoia stara — zdrada
- Gotować — wesola uczta
- Goździki — mile spędzenie czasu
- Grać na fortepianie — ludzące obietnice
- Grać na skrzypcach — zmartwienie, płacz
- Grać na trąbce — ostrzeżenie
- Grać na fujarce — będziesz coś organizował, projektował
- Grać w karty — straty w interesach, a czasem i w pracy
- Grać w karty — przegrać — ośmieszysz się
- Grabie — zapobiegliwość w gospodarstwie, w interesach
- Grabarz — ktoś czyha na twoje życie
- Gramofon — szkodliwa gadatliwość
- Granat — zasadzka na ciebie
- Granat wybuchający — nieoczekiwane niebezpieczeństwo
- Granica — sąsiedzkie nieporozumienia
- Groch jeść — niestrawność
- Groch kwitnący — zadowolenie, spokój
- Groch luskać — lzy, cierpienie, choroba
- Gronostaje nosić — uznanie, zaszczyty
- Groźbę slyszec — musisz się tłumaczyć
- Groźbę komuś — narazisz się na nieprzyjemności
- Gratulować — dobre stosunki z ludźmi
- Grób — pogrzebanie swoich nadziei
- Grób otwarty — śmierć wśród bliskich
- Gromy slyszec — poważne niebezpieczeństwo
- Grona winne — dobrobyt, zysk
- Grota — miła niespodzianka
- Grosze lleczyć — skąpstwo narazi cię na straty
- Grosze dawać — zdawkowa litość
- Grosze zbierać — niedola
- Grosze otrzymać — zlekceważ cię
- Grubym być — przez pychę ośmieszysz się
- Gruchanie gołębi slyszec — dobre współzycie z otoczeniem
- Grunt odlogiem leżący — zaniedbanie interesów swoich
- Grunt uprawiony — realizowanie dochodowych planów
- Grunt bagnisty — choroba
- Grunt kamienisty — daremne zabiegi
- Gruszki jeść — choroba żołądka
- Gruszki trząść — szczęście w interesach
- Gruszkę robaczywą — oszustwo
- Gruszki na drzewie — szczęśliwe małżeństwo
- Gruzy — wszystkie zamiary na nic
- Gruzy wywozić — poprawa egzystencji
- Gruźlica, być chorym — utrapienie z podatkami lub innymi zobowiązaniami
- Gryka kwitnąca — dobry wynik pracy
- Grzać się przy ogniu — będziesz żądał pomocy od kogoś
- Grządkę uprawiać — miła rozrywka cię czeka
- Grzechotka — plotki
- Grzebień — niechlujstwo
- Grzywa u zwierząt — ktoś ci wyświadczy przysługę
- Grzyby — zysk
- Grzyby trujące — choroba, zmartwienie
- Guma do klejenia — pomyślna okoliczność do robienia interesów
- Guma do wycierania — działanie na szkodę twą, intryga
- Guza nabić sobie — zaplątanie się w przykrą sprawę
- Guźki — pomyślna wiadomość
- Guślarza widzieć — kradzież
- Guwernantka — powiększenie rodziny
- Gwiazdy — szczęście
- Gwiazdy spadające — śmierć w rodzinie
- Gwidzać — lekceważenie swoich obowiązków
- Gwoździe — ustabilizowana egzystencja

# H

- Habit — nieporozumienie w rodzinie
- Haft — dobre widoki na przyszłość
- Haftować — dobrze pilnujesz swoich interesów
- Hak — kompromitacja
- Halas — przykreść
- Hangar — zbudujesz sobie dobrą egzystencję
- Harfa — platoniczna, przemijająca miłość
- Harmonia — zabawa, zebranie towarzyskie
- Has'le dawać — będziesz inicjatorem czegoś
- Has'le odbierać — będziesz należeć do spisku na kogoś
- Handlować — niechący oszukać kogoś
- Handlarz — zysk z oszustwa
- Hazardować się — dotkliwe straty
- Heblować — przeprosiny, wyjaśnienie obmowy
- Helm — będziesz narażony na ataki słowne
- Herbata — choroba
- Hlacynt — przelotna miłośka
- Hipoteka — zapewnienie przyszłości

Dalszy ciąg nastąpi



# Kultura 1974

## Literatura

Na IX Ogólnopolskim Festiwalu poezji w Łodzi nagrodę za wybitny tom poetycki otrzymał Jan Bolesław Ożóg („Wyspa Barbary”), za tom poezji patriotycznej Maria Zientara-Malewska („Pieśni Warmińskie”), za zbiór esejów Mięczyński („Walka o słowo”), wreszcie za debiut poetycki Marek Jodłowski („Osad”) oraz Franciszek Kamecki („Parabole Szyfca”).

W latach 1944-1973 niezmiernie największą popularnością cieszy się Henryk Sienkiewicz — jego książki wydano w nakładzie 14 879 tys. egz. Następne miejsca zajęli: Prus (13 525 tys.), Krasiński (12 988 tys.), Mickiewicz (11 613 tys.), Żeromski (10 430 tys.), Orzeszkowa (7 068 tys.), Tuwim (5 375 tys.), Fowacki (4 498 tys.), Dąbrowska (3 714 tys.), Żukowski (2 738 tys.), Meissner (2 640 tys.), Iwaszkiewicz (2 110 tys.).

W okresie powojennym najpoczytniejszym z pisarzy obcych okazał się w Polsce London — jego książki wydano w nakładzie 3 893 tys. egz. Następne miejsca zajęli: Gorki (3 089 tys.), Verne (2 802 tys.), Balzac (2 756 tys.), Andersen (2 451 tys.), Conrad (2 205 tys.), Gajdar (2 298 tys.), Twain (2 174 tys.).

William Styron, jeden z najpopularniejszych pisarzy w USA, napisał powieść „Sophie a Choice” — o Polce, więźniarce oświęcimskiej, która w obozie straci-

ła dzieci. Pierwotnym jest Polka, która spotkał w Broklynie tuż po wojnie. Potem dla zebrań realioń przebywał w naszym kraju.

## Teatr

Nagrodę im. Boga Klubu Krytyki Teatralnej za rok 1973 otrzymał Andrzej Wajda za wybitne osiągnięcia w dziedzinie reżyserii teatralnej, zwłaszcza w teatrach krakowskich.

W ramach „Dni województwa czeskiego na ziemi łowickiej” Teatr im. Siemaszkowej wystawił we Lwowie, Czerwonogrodzie i Złoczowie „Niech no tylko zakwitną jabłonie” A. Osieckiej.

## Sztuka

Pierwszą nagrodę na wystawie „Współczesna sztuka polska zaangażowana politycznie i społecznie” w Łodzi otrzymała H. Garwatońska z Warszawy za pracę „Długa znużona”.

W Warszawie i czterech miastach wojewódzkich wystąpił radziecki Zespół Pieśni i Tańca Kozaków Dońskich, istniejący od 1936 r.

W centrum Taszkentu oddano do użytku nowy gmach Muzeum Sztuki Uzbekistanu, zbudowany w tym samym miejscu, w którym stał poprzedni, zniszczony podczas trzęsienia ziemi. No-

wy gmach zawiera 50 sal wystawowych, w których mieści się 20 tys. dzieł sztuki.

W stolicy Rumunii otwarto „Salon malarzy i rzeźbiarzy Bukaresztu”. Wśród wystawionych dzieł są rzeźby głów Kopernika i Iwaszkiewicza dłuta Andreia Ostapa. Rodzina artysty przed 60 laty przeniosła się z Polski do Rumunii.

Prof. Trikanolis z Aten zaalarmował rząd grecki, że wskutek braku opieki i osuwania się ziemi Akropol, najcenniejszy zabytek starożytnej architektury, może ulec całkowitemu zniszczeniu.

## Muzyka

XII Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu rozpoczął się 26 czerwca koncertem „Jubileuszowym”, który będzie przeglądem trzydziestu lat polskiej piosenki. Następnego dnia koncert konkursowy „To idzie młodość”, 28 czerwca „Premiery 74” i 30 czerwca koncert finałowy „Mikrofon i ekran”. Ponadto szereg imprez towarzyszących.

Na swoje dwudziestolecie Warszawska Operetka wystawiła „Zamek na Czorsztynie” Karola Kurpińskiego. Była to właściwie prapremiera, gdyż sztukę w nowym opracowaniu poważnie zmienił, przekształcając ją na operę-buffo. W nowym sezonie Operetka będzie wystawiała także rewie.

W Szwecji wydano ostatnią płytę z nagraniami utworów T. Bairda, W. Lutostawskiego, K. Pendereckiego, K. Serockiego i W. Kosińskiego, w niedługim czasie ukaze się płyta z nagraniami utworów K. Szymanowskiego.

W stolicy CSRS kończy się „Paryskie Jaro 1974”. W tegorocznej Praskiej Wiosnie bierze udział 19 orkiestr symfonicznych, 13 zespołów wokalnych, 7 chó-

ralnych oraz kilkudziesięciu solistów z różnych krajów świata. Impreza poświęcona jest całkowicie muzyce czeskiej.

## Film

Grand Prix XXI Ogólnopolskiego Konkursu Filmów Amatorskich w Pucku otrzymał Tadeusz Wudziński z AKF „Pegaz” w Warszawie.

W roku ub. wyprodukowano we Francji 543 filmy fabularne. Największym powodzeniem cieszył się „Rabbi Jacob”, najmniejszym (w Paryżu) film syryjski „Tewski Salah” — 482 widzów w premierowym tygodniu.

Luis Bunuel znów nie dotrzymał słowa i przystąpił do realizacji nowego filmu. Tytuł „Piękność nocy” jest analogia do słynnej „Piękności dnia”. W roli głównej Catherine Deneuve.

Fred Astaire znów do dziś królem filmowego musicalu mistrz stepowania i partner Ginger Rogers, ukończył 75 lat — z tego 70 lat występuje w filmach, na scenach i estradach. Także śpiewa.

## Różne

W Warszawie przebywała Luiza Mickiewiczowa, wdowa po najmłodszym synu Adama Mickiewicza — Józefie, z urodzenia pół-Francuzka i pół-Węgierka. Przekazała ona kilka pamiątek do Muzeum im. Mickiewicza.

W konkursie na scenariusz widowiska estradowego dla środowisk polonijnych nagrodę nie przyznano, i wyróżnienie otrzymał Wojciech Furman za „Hold polskiej pieśni”. II wyróżnienie Maria Januszkiewicz za „A to Polska właśnie”.

Biblioteka Narodowa w Warszawie posiada obecnie 2 676 tys. tomów, w tym 8 tys. rękopisów oraz około 50 tys. druków z wieków XV-XVIII.

Ostatnie plenum KW PZPR w Katowicach poświęcone było w całości problemom kultury w tym województwie.

Wskutek rozdziałów pomiędzy dyrekcją a orkiestrą operną w Chłapku nie będzie czynna w przyszłym sezonie. Jest to już drugi taki wypadek w historii tej placówki.

## Lubliniana

Wśród 25 osób, które otrzymały doroczne nagrody RSW Prasa — Książka — Ruch, był red. Jerzy Denisik ze „Sztandaru Ludu”. Gratulujemy.

Chór Lubelskiego Tow. Śpiewaczego „Echo” przebywał w Holandii gdzie dał kilka koncertów i spotkał się ze środowiskiem tamtejszej Polonii. Dyrygował Adam Natanek.

W konkursie ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Obrony Narodowej oraz Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa trzy pierwsze nagrody za najlepsze prace maisterskie zdobyli kolejno: Henryk Kucharuk Ewa Sawczuk i Alicja Gołębowska — wszyscy w Zakładzie Historii Najnowszej UMCS pod kierunkiem doc. dra Z. Mańkowskiego. Ponadto Edward Olszewski za pracę doktorską pod kierunkiem prof. St. Krzykały zdobył III miejsce. Gratulujemy!

UMCS otrzymał medal pamiątkowy Komisji Edukacji Narodowej.

63 uczniów szkół podstawowych z województwa startowało w finale wojewódzkiej olimpiady polonistycznej. I miejsce zdobyła Ewa Łupina z Lublina, II — Beata Chmiel z Puław, III — Mirosław Małek, także z Puław.

W Lublinie odbyła się ogólnopolska narada specjalistyczna bibliotekarzy w sprawie perspektyw rozwoju bibliotek na wsi.

## nowy i notki

„Sztandar Ludu” zapowiedział wyświetlanie w telewizji filmu pt. „Na ratunek”, „Trybuna Ludu” zaś: „Na rabunek”. Okazało się że Warszawa jest lepiej poinformowana, choć komedia i tak była bardzo smutna. Może więc „Sztandar” z góry to przewidział?

Henryk Gaworski z redakcji warszawskich (woj.) „Barw” ma tyłu przyjaciół, że nie jest w stanie wysyłać do nich indywidualnych listów. Drukuje więc w „Barwach” (nr 6) List nieapostolski zachęcający się od słowa: Przyjaciele!

Z listu dowiadujemy się, że: 1) wszyscy jesteśmy przypisani swojej ziemi (patriae adscripti), 2) dla Polaków drugiej połowy XX wieku nie ma miejsca pod słońcem, które byloby ekwiwalentne w stosunku do naszej ojczyzny, 3) minęły bezpowrotnie czasy, kiedy za chlebem etc. 4) są wokół nas ciemnie przyjaciele, którzy odeszli, 5) matki zaszczytowały nas miłością ojczyzny, 6) bohaterki kobiety polskie są równorzędne z współtowarzyszami tego wszystkiego, co piękne i wielkie, 7) człowiek jest istotą towarzyską, choć niekiedy pragnie być sam na sam ze swoimi myślami, 8) Polska Ludowa nie wzięła się z powietrza, 9) czas nie raz jeszcze poprawi nasze zamiary i nasze budowanie.

Ogłaszając publicznie te rewelacyjne spostrzeżenia, redaktor naczelny „Barw”, istota towarzyska, wykazał, że nie należy do ludzi, którzy pragną być sam na sam ze swoimi myślami. O czym też publicznie donosi

## MAJ

Już mi się odechciało zbierać makulaturę. Miałem 120 kg i zawiozłem je do punktu skupu spółdzielni „Oszczędność” przy ul. Gołębskiej. Tu stanowiąc odmówiono przyjęcia, odsyłając mnie do magazynu głównego przy ul. Męgliwskiej 2. Tam znów po zważeniu kazano mi dźwigać paki do magazynu i dopiero po interwencji w zarządzie odebrano normalnie. Aby otrzymać pokwitowanie musiałem okazać dowód osobisty, a potem kazano mi chodzić po podpisach do pokojów nr nr 4, 6 i 7, by ostatecznie wyładować w kasie.

Wreszcie dostałem 120 zł, z czego 39 zł wyniosły moje koszty transportu (14 km po 2,80 zł), ponadto straciłem trzy godziny czasu. I wszystko w spółdzielni „Oszczędność”!

W rozkładzie jazdy PKS linia do Białegostoku obsługiwana jest przez autobusy L. Ale to teoria. 22 maja o godz. 14 wyjechałem z Lublina zwykłym „Jelczem”, w którym jedynym „ulepszeniem” były niedźwie wykonane podglówki przy siedzeniach. Niemal przez całą drogę autobus był przeładowany, kierowca dwa razy zmienił trasę i cztery razy zabierał lub wysadzał pasażerów w szczyrzym polu. Następnego dnia w południe wracalem już autobusem L, kierowca znał drogę, pasażerów ponad normę nie zabierał. Ale pierwszy autobus należał do PKS w Lublinie, drugi do PKS w Białymstoku.

Biurowo informacyjno - zleceniowe lubelskiej poczty doprawdy nie wie, co się dzieje w świecie telefonów. Prosiłem o numer lotniska w Warszawie, aby dowiedzieć się o przylot samolotu. Otrzymałem trzy numery: w rzeczywistości jeden w ogóle nie istniał, drugi nie odpowiadał, pod trzecim odezwała się kasa, która nie dysponowała rozkładem. Następnego dnia według nazwiska podano mi pięciocyfrowy numer w Białymstoku. Przez dwa dni nie mogłem się dowiedzieć, bo w rzeczywistości numer był czterocyfrowy, gdyż centrala z numerem 3 będzie czynna dopiero za pół roku.

„Domy Towarowe „Centrum” przygotowują się — doniosła „Trybuna Ludu” (nr 141) — do obchodów (...) Dnia Dziecka (I.VI.). Z myślą o najmłodszych (...) w CDD od 25 maja do 25 maja... Mniejsza o to co się działo lub miało dziać, ale czy autor sądzi, że najmłodszych można oszukiwać zarówno jeżeli chodzi o datę imprezy, jak również czas jej trwania? Brzydko dawać najmłodszym taki przykład.

„Było gorąco w Zielonej Górze” — wspomina z rozrzewieniem „Lech” w „Walce Młodych” (nr 22). W ramach Dni Literatury Młodych odbyły się tam bowiem spotkania autorskie, kiermasz książek i seminarium o literaturze dla młodzieży, a w tzw. międzyczasie zwiędzenie wytwórni win. Nic dziwnego, że potem wydawcy „ocenili imprezę jako inicjatywę ze wazach miar pożyteczną”, równocześnie „pisarze mniemali, iż warto imprezę powtórzyć”, zaś sam „Lech” wyjawil, że za rok „będę mógł przedrukować powyższe zdania bez zmian”. Największy realizm wykazali chyba pisarze.

## ekran i widz

### Śmiech na widowni!

JACEK Federowicz — zapytany w którymś z wywiadów, czego się najbardziej wstydzil w swojej karierze artystycznej — odpowiedział, że scenariusza do filmu „Kochajmy Syrenki”. I na tym dżentelmeńsko poprzestał, nawet nie próbując bronić się stwierdzeniem, że właściwie większość naszych „speców” od komedii filmowej powinna się na zawsze zapisać pod ziemię ze wstydu, a więc on nie jest ani lepszy ani gorszy od innych.

Tak się jakoś od lat dzieje, że w przypadku polskiej komedii filmowej śmiech zazwyczaj króluje na ekranie, natomiast nie slychać go na widowni. Na palcach można by policzyć wyprodukowane w minionym trzydziestoleciu filmy, którym przysługiwałoby miano komedii. Były takimi z pewnością „Skarb” czy „Irena do domu!”, nawiązujące jednak do tradycji filmu przedwojennego, seria przygód „Pana Anapola”, no i doskonała, nakręcona w 1958 r. przez Tadeusza Chmielewskiego — „Ewa chce spać”, komedia zrealizowana w klimacie pure-nonsensu, która zyskała niemal rozgłos w kraju i za granicą, ale którą też do dzisiaj cytują się w opracowaniach dotyczących polskiego filmu aż do znużenia, bo w końcu nie lepszego nie ma pod ręką. Mniej się natomiast pisze, że Chmielewski zakalał pułki się następnie w swojej własnej konwencji bez reszty, kręcąc „Waleta pikowego”. Pozyję najciekawszego polskiego reżysera komediiowego odzyskał dopiero po kilku latach — realizując „Gdzie jest generał” i „Jak rozpętałem II wojnę światową”, dziełko zresztą o tyle zabawne, co rozwlekłe i przegadane.

Ale w końcu sam Chmielewski nie czyni wiozny. Co się zaś tyczy innych reżyserów, to ci dość nagminnie holdują stylowi, który sięga korzeniami do popularnych rozrywkowo-satyrycznych programów telewizyjnych, gdzie kilka dobrych gagów wspartych nazwiskami popularnych aktorów maskuje ubogą treść i jeszcze bardziej ubogą myśl. Ale to, co nawet dobre na szklanym ekranie, bardzo rzadko sprawdza się na ekranie srebr-

nym. Przykładem choćby Jerzy Gruza i jego „Dzieciol”. Albo — ostatnie dziełko Jerzego Passendorfera: komediowo potrakowany serial telewizyjny o Janosiku bawi i cieszy; tenże „Janosik” przykrojony do wielkiego ekranu, stał się płytka komedijka.

Aż dziwne, że przy tym nawale gagów, problematycznych (jakże często!) dowcipów i „estradowych” popisów poszczególnych aktorów, przy ogromnej „inwencji” cechującej i scenarzystów i reżyserów, prawie żaden z nich nie sięgnął po temat głębszy, istotny dla tego, co się wokół nas dzieje. Na przykład po problematykę — jakże istotną — którą od kilku ładnych lat drażą Jerzy Ofierski czy Kazimierz Grześkowiak...

Może dlatego okazał się takim „wystrzałem” i taką się cieszył popularnością nakręcony w 1967 r. przez Sylwestra Chęcińskiego film „Sami swoi”, prezentujący z przymrużeniem oka tradycyjne przywary „stanu wiejskiego”, ale ukazujący zarazem przemiany zachodzące w „zabużańskich” chłopach z chwilą osiedlenia się na Ziemiach Odzyskanych. Poza komediową otoczką potrafił Chęciński pokazać prawdziwe, ludzkie problemy, a o to przecież chodzi w prawdziwej sztuce i w prawdziwej komedii.

Nic dziwnego, że ostatni film Chęcińskiego „Nie ma mocnych”, będący kontynuacją „Sami swoi”, nawet na najwcześniejszych seansach gromadzi tłumy widzów i tak samo wzbudza huragany śmiechu. A przecież problem podjęty przez twórców filmu wcale do najwzruszających nie należy: oto rolnik, który przed laty był jednym z pionierów zagospodarowujących Ziemię Odzyskaną, dzisiaj musi przekazać gospodarce państwu, bo sam już nie ma siły uprawiać roli, a dzieci dawno wyemigrowały do miasta. Jedyna nadzieja we wnuczce, która, niestety, właśnie przystępuje do egzaminów wstępnych na wyższą uczelnię... Zwaśnieni niegdyś przedstawiciele chłopskich rodów, Pawlak i Kargul, których zjednoczył ostatecznie wspólny cel — zachowanie gospodarstwa, dokonują cudów pomysłowości żeby Anię połączyć węzłem małżeńskim z młodym technikiem mechanizacji rolnictwa — Zenkiem.

Ale to wszystko obejrzy widz na ekranie. Nam natomiast wypada podkreślić doskonałą grę aktorską Władysława Hańcy i Wacława Kowalskiego, zwrócić uwagę na świetny scenariusz i dialogi Andrzeja Mularczyka, wyrazić ubolewanie nad niedoskonałością fonii, a w sumie — życzyć sobie więcej tego rodzaju filmów.

(md)



# Odpowiedzi redakcji

**Z. G. Lublin.** Stosownie do życzenia odpowiadamy. Wiersze świadczą za i przeciw autorowi, piszemy „za i przeciw”, bo to jednak dość mało. Wystarczy na doznanie — że tak powiemy — prywatnie. Jeśli natomiast ma to być materiał na „komunikat liryczny”, potrzebna jest pewna umiejętność posługiwania się współczesnym językiem poetyckim. Na czym ta umiejętność polega? Wątpliwe, czy osiągnęlibyśmy zamierzony skutek zapisując na ten temat nie mniejszy kącik, ale cały numer. W każdym razie: zbliżyć się do przedmiotu, czytać. To samo przynosi korzyść niewątpliwą.

**R. L. Wielopole Skrzyńskie.** Pański wiersz na temat sprzętu zbroja pod ostrzałem artyleryjskim przeczytaliśmy z dużym zainteresowaniem. Sądziłyśmy jednak, że znacznie sposobniejszy dla celów dokumentalnych byłby tu opis prozatorski.

**„QQ” z L. Prosimy** o nazwisko i adres. **Z. P. Lubartów.** Dysponuje Pan dość sprawnym opisem, ale opowiadaniu brak podkładu myślowego. Po co opisane zjawiska zostały przytoczone? Jaka jest ich wymowa ludzka, artystyczna, filozoficzna? Co ma z nimi zrobić czytelnik, poszukujący sposobności do dialogu z autorem? Na te pytania nie ma w tekście odpowiedzi, a przede wszystkim one wyznaczają sens i zamiar pisarski. Odnosi się wrażenie, że autor to nie jest rzemieślnik, który opanował stolarzkę z jej cieciem, heblowaniem, spajaniem ale nie wie jaki przypisać użytek wyprodukowanym przedmiotom. Z pewnością ma Pan „coś do powiedzenia”, ale myślnie uważa Pan za potrzebne ukryć to za parawanem „sztuki”. Uniknąć łopatologii? Tak, ale to nie oznacza pozostawienie czytelnika bez wniosku. Na odwrót: wniosek ma być tym dobitniejszy, że wyciągnięty przez samego czytelnika. Ten chytry zabieg autorski musi Pan opanować.

**B. Zielona Góra.** Rozumiemy tak: denerwuje Pana niejasność współczesnej poezji, jej poetyka oparta na zasadzie kojarzenia rozumianego się z normami międzywzajemnego porozumienia i poszukuje Pan drogi wyjścia nie prowadzącej równocześnie do przestarzałych kanonów. Ba! Jes! to zamierzenie szlachetne, ale nie dające się zrealizować w pomysłach jednego wiersza. To artystyczny program, którego obecność wystarczy na całe życie. Dodajmy, że niemożliwy do wykonania bez tej predyspozycji indywidualnej, którą nazywamy talentem. Prosimy nas nie rozumieć w ten sposób, że wobec tego zalecamy pozostanie przy „belkocie”. Zalecamy zawsze poszukiwanie i to już nie nasza wina, że w poezji najtrudniejsze jest poszukiwanie siebie. Jeśli Pan posiada — choćby jeszcze niejasną — idee własnej poezji, pierwszy krok jest postawiony. Reszta to sprawa czasu, bo nawet owa „predyspozycja indywidualna”, o której mowa wyżej — również czasu wymaga.

**S. T. Bilgoraj.** Nie radzimy oczekiwać na temat, który automatycznie — tak to wygląda z nadesłanego listu — wywoła erupcję poetycką. Takiego tematu nie ma, a właściwie jest wszędzie. Bo sprawa przedstawia się na odwrót: autor musi dysponować umiejętnością widzenia świata, wtedy wszystko jest sposobnością do lirycznej wypowiedzi. Zdarzenia nie rodzą poety, poeta przez nie wyraża swą wizję już posiadaną. Więc oczekiwać — owszem, ale na narodziny własnego stosunku do rzeczywistości. Co nie oznacza, że stanie się to bez trudu, poszukiwań i całkiem „prozaicznego” zdobywania doświadczeń pisarskich.

**G. R. Koszalin.** Tak, ale reportaż, jak samo wymaganie gatunku wskazuje, nie może być czym innym, niż relacją autentyczną. Może relacja zmodyfikowana przez literaturę — o tym toczą się dyskusje specjalistów — ale takie sprawy jak kto, gdzie, o co, ujęte bardzo konkretnie, z nazwiskami i adresami nie mogą zostać w zawieszaniu. Anonimowość postaci występujących w Pana tekście zatracą jego zasadność. Albo autor kieruje obiektyw uwagi na dane autentycznie zjawisko i wtedy mamy reportaż, albo stosuje literacką przeróbkę i wtedy mamy opowiadanie, opowieść, scenariusz filmowy. Ani jedno, ani drugie tu nie zostało zachowane. Prosimy nie sądzić, że nie zdaliśmy sobie sprawy z istniejącej w dzisiejszym piśarstwie praktyki pogranicza gatunków, która przynosi niekiedy ciekawe rezultaty, ale to co otrzymałyśmy jest czym innym. Po prostu zamaskował się Pan sztyfując tekst, a nadrobił to dość zdawkowym (bo przecież reportaż) „ujęciem literackim”. Tak, tak, ma Pan w zanadrzu odpowiedź, że przecież w wielu reportażach np. Lovella zamiat nazwiska figurują inicjały (i to też fikcyjne). Ale jest tam autentyczny sprawy, autentyczność uwierzytelniona pisarskim przedsięwzięciem, a tego Pan zaniedbał licząc na samą wymowę zamaskowanego faktu.

**P. D. Lublin.** Jeśli to wyjaśnienie jest potrzebne, chętnie je podajemy. W rubryce „Odpowiedzi redakcji” nie kwitujemy całej otrzymanej przez nas poczty literackiej. Nie wystarczyło by na to miejsca, reszta nie ma takiej potrzeby. Nie omawiamy też wyłącznie tych utworów, które „odpadły”, które zostały zakwalifikowane ujemnie. Gdyby pismo miało większą objętość, część tekstów zatrzymanych w redakcji trafiłaby do druku. Kierujemy się natomiast innym założeniem. Odpowiadamy tym autorom, których utwory dają sposobność do poruszenia pewnych kwestii oświeceniowych, niż „tak” lub „nie” ze strony redakcji. Kwestii należącej do towarzyszących nisawstw młodych. Prosimy też nie traktować tego jako recept. Staramy się tylko służyć tym odzewem krytycznym, jaki każdemu autorowi test potrzebny dla autorefleksji i samokontroli. Jeśli to w niektórych wypadkach następuje — rubryka spełnia swój zamiar.

# Szyfrogram literacki (nr 12)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery, a następnie odczytać fragment wiersza współczesnego poety polskiego którego pierwsze litery imion i nazwisko dadzą pierwsze litery początkowych 13 wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — wiersza.

## Wyrazy pomocnicze

- 20, 2, 10, 31, 15, 9, 73 — inne słowo o tym samym znaczeniu.  
21, 42, 5, 12 — rada ministrów.  
1, 12, 38 — nie ma go bez ognia.  
108, 76, 40 — zaimek osobowy rodzaju nijakiego.  
20, 39, 19, 71 — pomyłka  
97, 57, 48 — dziki kuzyn kota.  
22, 63, 8, 59, 34, 99, 89, 63, 18, 33 — wielościan o 6 wierzchołkach i 12 krawędziach.  
23, 91, 31 — zdobi męską twarz.  
26, 87, 103, 106, 66, 17 — kokon.  
49, 24, 18 — ziemia  
32, 94, 44, 29 — zapach spalenizny.  
6, 50, 36, 69, 96 — bywa humoru, rozrywki w gazetach.  
4, 58, 74, 112 — po polsku przed nazwiskiem.  
100, 61, 95, 86, 92 — statua, pomnik  
102, 75, 110, 79, 35, 72 — jasno-czerwony.  
64, 81, 85, 27, 46 — zbrojne rozstrzygnięcie konfliktu.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39
40	41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52
53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65
66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78
79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91
92	93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103	104
105	106	107	108	109	110	111	112	113	114	115	116	117
118	119	120	121	122	123	124	125	126	127	128	129	130

98, 47, 37, 88, 78 — orkiestra rozrywkowa składająca się z kilku lub kilkunastu instrumentów.  
80, 90, 45, 56, 77 — dźwięk  
107, 60, 111, 83 — nierozwinięte kwiaty.  
82, 93, 54, 62, 70, 68, 52, 28 — mieszkanka stolicy walca.  
55, 84, 109, 101, 41, 43, 105 — uzupełniają je w piosenkach słowa.  
7, 25, 67, 11, 3, 53, 104, 14 — pogoda ducha, widzenie zjawisk dodatknych.  
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt., 131 20-959 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe. Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 10 był wiersz Adama Mickiewicza z cyklu

„Zdania i uwagi” pt. „Potwarz i pochlebstwo”:  
„Pochlebca i potwarca za zasługą łapa;  
Brzydz się więcej pochlebstwem niżeli potwarzą.  
W potwarzy dla dobrego jest zawidy  
nauka;  
Pochlebstwo złych zatwardzi, a dobrego oszukaj”.

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 10 4 bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Janina Nowakowska, Zamość, ul. Krakowskie Przedmieście 9, Maria Sowa, Janów Lubelski, ul. Szewska 25, Bolesław Banach, Lublin, ul. Hanki Sawickiej 18 m 4, Marian Strach, Kielce, ul. Karczówkowska 10 m 4.

## listy do kamieny

### SZKOŁY OBYCZAJU

Przez i po Lubelszczyznę kursują od dłuższego czasu nowoczesne autobusy jugosłowiańskie i polskie. Wygodne, czyste, eleganckie i szybkie są w moim przekonaniu nie tylko wysoce sprawnymi środkami lokomocji między miastami, ale w poważnej mierze — także szkołami nowego i dobrego obyczaju. Kierowca, który nie zezwala na trzymanie dużych bagaży koło foteli, lecz pakuje je do specjalnego pomieszczenia, a poza tym nie bierze więcej pasażerów, niż jest miejsc siedzących w autobusie — jest, o dziwo, przez wszystkich szanowany. Zeznałam, że ludzie jakby nabierali w tych autobusach lepszych manier, stawali się uprzejmiej, może lepsi. Postępowanie człowieka zależy, jak widać, od fizycznych warunków, w których przebywa. Wyciągamy z tego właściwe wnioski.

Danuta Młynarska  
Zamość

### OKAZYJNE NISZCZENIE?

W pobliżu Zamku Lubelskiego przygotowywane są tereny pod wielką wystawę kwiatów, która otwarta w lipcu — zostanie na stałe w Lublinie. Równocześnie jednak kierowcy sprzętu mechanicznego nie zbyt dbają o okoliczną zielen. Widziałem jak pod naporem ciągnika padały młode, lecz dorodne brzoźki i inne drzewka jak na długości prawie metra zdarto z akacji kore. Jedną ręką się buduje, a drugą niszczy — jak to może być?

Antoni Kłodnicki  
Lublin

## „WĄTPLIWIY UROK NAIWNOŚCI”

Autor „Wątpliwego uroku naiwności” („Kamieny” nr 9) podpisujący się „JKK”, bardzo dozwolnie i ze snadą demaskacją nieautentycznie, naśladowczo poczynania niektórych „fotoplastyków”. Moment demaskowania poprzedzają uwagi z historii, która uczy, że odczyt do uprawnienia twórczości potrzebne były dość prozaiczne bodźce, natomiast obecnie wypadają być intelektualistą, a najlepiej konceptualistą. Tak się jakoś składa, że problemy współczesnej plastyki są mi bliskie, także w BWA bywam często, widziałem też wzmiankowaną w artykule wystawę. Lublin miasto małe, galeria BWA odwiedza mała ilość osób, znamy się, wiadomo o kogo chodzi. Autor artykułu takto nie wymienił żadnego nazwiska oprócz Popczyk, ale też nie znam. Zamysł JJK należy uznanowac, zainteresowani i tak będą wiedzieli, kto to jest pan A — od „obrazu w obrazie” i pan B — „lepiący małe zdjęcia w duże plachty”.

W chwili obecnej sztuka konceptualna przeżywa swój pełny rozkwit. Ten zróżnicowany ruch łączy przecież jedno: brak przedmiotu — dzieła sztuki, co jest zjawiskiem zupełnie nowym. Zamiast dzieła zostaje prezentowana nam dokumentacja owocego działania artystycznego, materiał, którego wartościować nie sposób, ponieważ znane od lat kryteria są tu bezużyteczne. Zanim krytyka wypracuje nowe metody uporać się ze zjawiskiem sztuki konceptualnej upytanie sporo czasu, przez który uszyliśmy niedługo pytanie w rodzaju: panie kto tu jest głupi, artysty czy ja? O co im chodzi, czy nie robią mi „w konia”? Dawanie arbitralnych odpowiedzi na takie pytania wymaga wielkiej rozważa, rozeznania w aktualnej sytuacji w sztuce i świadomości że „errare humanum est”. Po lekturze wspomnianego artykułu wydaje mi się, że tego autor niezupełnie dokładnie spełnia powyższe postulaty, a przede wszystkim nie zadał sobie trudu dokładniejszego rozważenia się ekspozycjom w BWA i zjawisku konceptualizmu. Są to, moim zdaniem, dwie różne sprawy. Błąd leży tuż w samym założeniu. JJK nie wiadomo na jakiej podstawie twierdzi, że konceptualizm wymaga szczególnych predyspozycji osobowościowych i rozległych horyzontów intelektualnych.

W BWA fotografik A pokazał szereg zdjęć ułożonych ściśle obok siebie w poziomy rzęd. Na zdjęciach tematy banalne: fragmenty miasta, żółki domu, ulica. Tematyczna jedność tych wizerunków rzeczowości zakłócona jest polawieniem się w nich fragmentu unwersum, które istnieje poza polem widzenia obiektywu w momencie wykonywania

zdjęcia. Obraz w obrazie. Traktowanie zdjęcia fotograficznego jak malowidła to chwyt stary jak malarstwo europejskie. Była przecież Pompea z iluzjonistycznym II i teatralnym III stylem, używał go Van Eyck, bawili się nim manierysty, a w surrealizmie postawiono mu szczególnie dużo uwaga. Ale wszędzie tam chodziło o malowidło — tu jest fotografia i jej język, jej problemy. Moment tej ilustracyjnej dygresji winien podrażnić wyobraźnię nasuwając pytania, precyzując intelektualną refleksję, i czyni to, oczywiście nie w wszystkich. Dla JJK takie sposoby są znane, oarane i nudne. Jego sprawa, nie dziwi mnie to. Dziwić się natomiast, gdy autor artykułu z triumfem konstatakuje że treść ulotki dołączonej do zdjęć nie bardzo daje się z nimi łączyć, jest napuszona i pełna „naukowych terminów”. Aż korci zapukać krytyka o przykłady z historii sztuki, przykłady ulotek, manifestów, programów artystycznych, pisanych prostym, potocznym językiem, których treść byłaby zgodna z tym, co artysta robił lub robi. Ciekawo, czy dużo by tego znalazł? W ostatnim rozrachunku liczy się to co artysta tworzy. Niemniej jego wypowiedź o działaniu jest też istotna, niemal niezbędna do pełnego rozumienia dzieła. W tym wypadku wyjaśnia wiele, m. in. i to, że zdjęcie jest produktem finalnym, że dla niego organizowano sytuację z lustrem. Jest ono równocześnie wynikiem i przedmiotem, a nie czystą dokumentacją! Konceptualizm?

Fotografik B fotografuje teatr studencki. Atmosfera tego teatru usiłuje zanotować za pomocą fotografii, a następnie przemieścić do sali wystawowej. Robi próbę działania na widza plastyką przestrzeni, w której się znajduje, funkcje trójwymiarowych przedmiotów przejmują ich wizerunki — zdjęcia. Zabieg ten jest od dawna znany w plastyce i nosi nazwę „environment”. A to, że małe zdjęcia leżą to duże plachty... to też ma sens, swoją rację bytu. Widać, także krytyk nie jest zwolniony od „głótkowania”. Inna sprawa, że ekspozycja „Zapisu” w BWA to niewypał. Miała ona swój sens w kameralnym pomieszczeniu. Tak czy owak, gdzie tu miejsce na imputowany konceptualizm?

Wyłąda na to, że obie prezentowane w BWA ekspozycje przy odrobinie wysiłku tłumacza się same przez się językiem obrazowym, a nie zapisu działania. Sądzi, że pomysł łączenia ich z ruchem konceptualnym nasunął JJK tytuł jednej z nich: „Zapis”...

JSC  
Lublin  
(nazwisko i adres znane redakcji)  
Od redakcji: List drukujemy w skrócie.

**Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.**  
**Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.**

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunta Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki i Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumerate wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumerate za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumerate na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 25, 00-340 Warszawa konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka Zam. 1400 31.V.74 r. E-4

Numer łamaj Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 36-600



**W** TELEWIZJI pokazano Szwajka w trakcie smarowania kolana opodeldokiem. Ta prosta czynność wydała mi się kolejnym dowodem mądrości dobrego wojska, mało tego — odruchem wprost pro etykiem. Szesćdziesiąt lat temu pucybut nadporučnika Lucasa leczył się sposobem, który ja dzisiaj praktykuję. Mam reumatyzm. Od dawna. Przez długi czas trzymałem go w ryzach różnymi smarowidłami, z opodeldokiem na ciele. Pomagały, choć oczywiście nie na tyle, aby zlikwidować we mnie poczucie krępującej odrębności. Ludzie chorzy gardzą po cichu zdrowymi, aczkolwiek robią wszystko, aby powrócić do normy. Z biegiem czasu reumatyzm zaczął jednak swawolić, co zmusiło mnie do szukania pomocy w oficjalnej medycynie. Nie posiłem, potraktowano mnie na serio i troskliwie, z miejsca kierując do sanatorium. Kto starał się o miejsce w tym przybytku, wie najlepiej, ile trudności trzeba pokonać. Ja tymczasem od razu — do Łącka Zdroju. W kwietniu.

Cał mojej podróży nie był może imponujący: postarzany dom w stylu budownictwa kuracyjnego z początku wieku... Obiecywał przecież rodzinną atmosferę, której na próżno szukać w olbrzymich, przeszklonych i jakos zimnych sanatoriach nowoczesnego kroju. Tu zaś swojsko, miło i przytulnie. Wszedłem.

Ogarnął mnie ostry zapach farby olejnej, którą malowano właśnie drewniane schody prowadzące na piętro. Czystość i estetyka pomieszczeń to istotne elementy współczesnej terapii — pomyślałem sobie, tłumiąc wątpliwości co do terminu rozpoczęcia prac malarskich. Dla porządku zapytałem o harmonogram i czy może próbują przed terminem, w czynnie. Brodaty pomocnik mistrza odparł, że pod-

wykonawcy nawalają: poszli po piwo i już dwie godziny ich nie ma. Jak w takich warunkach pracować? — rozstąpił się młody wysokodrogi specjalista.

Po zalatwieniu wstępnych formalności dotarłem do pokoju, który przez 24 dni miał mi być drugim domem, a przynajmniej wygodną sypialnią. Rozłożyłem rzeczy. Ale nie wyszła, bo szafka nocna przy łóżku nie posiadała drzwiczek, szuflady, a także jednej nóżki. Pobiegłem do pani pokojowej w celu złożenia interpeacji. Milczała dwuznacznie.

re w jakiejś tam opodeldoki, pił smalec czy jaskółcze gniazdo. Leżałem na łóżku: usigotno. Bez głupich fartów — sam siebie zacząłem strofować, nie docierając zmysłom. Ale nie, to tylko stary, sponiewierany i prawie zgony materac podnosił wilgoć otoczenia, przeszczeradła i mojej piżamy. Zaczęło mi swiać, że w sanatorium zaczęto widać leczyć reumatyków w sposób całkowicie niekonwencjonalny... Nie przepadam jednak za rolę królika doświadczalnego: wziętałem pokojową, dałem 10 złotych w dłoń nie-

cierści tydzień tulaliśmy się po ubikacji w ciemnościach, ponieważ przepała się żarówka i co jeszcze, być może połączenia w zwojach miedzianych kawatowictwa tego przybytku. Personel, nie można powiedzieć, był zycielny, pomocą i rada służył nawet politechniczny.

— Mówi pan, że kłamała zepsuta i drżot do pokoju się nie domykalą? Błaha sprawa — stwierdziła pielęgniarka. — A na noc to najlepiej krzestem podeprzeć... W damskich łazienkach też nie ma zamków, czy choćby haczyków, no i co? Nic się nie stało.

Nocne zabezpieczenie drzwi do pokoju było właściwie zbyteczne, albowiem na ogół nie spałem, mobilizowany do czuwania drzącym dźwiękiem pompy szacofłoczącej, zwaną przez budowlanych „szabką”, która przez całe 24 godziny pracowała pod oknami sanatorium „Barbara II”. Z tego właśnie powodu wyrodłem z rak administracji radiodbiornik — aby zagłuszyć rżosliwe „zwierzę”, szalejące koto leżniacy. Ale radio grać nie chciało. Wrazem więc od tyłu kawat przewodu z grzałki wodnej i zmusiałem pudło do kontaktu z Warszawą 1, czasami nawet łapiąc rodzinny Gdańsk, do którego coraz częściej kierowałem myśl i uczucia.

Wiadomo, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Tak i turnus w sanatorium „Barbara II”, stojącym przy przynajmniej ulicy stynnego uzdrowiska Łądek — Zdrój skończył się.

Przed reumatycznym skruceniem w ósemkę uratowałem się ostrą kuracją z użyciem pocziwego opodeldoku.

# Opodeldokiem!

— To proszę wyrzucić ten grań przez okno, daje 10 złotych.

— Nie wolno...

— Daję 20 złotych!

— Nie można, nie...

— Daję 50 złotych! — straciłem cierpliwość.

— Nie da rady, mebel jest przecież na inwentarzu, o, tutaj wisi, koto głowy...

— Oto 10 złotych, proszę mi wstawić do pokoju dobrą szafkę.

Po otrzymaniu nowej szafki dokonałem ablucji, po czym chciałem spać, zmęczony wolegodziwną jazdą do pięknego Łącka — Zdroju, który miał mnie postawić na nogi, likwidując przy okazji wia-

clerpliwą i po trzech minutach otrzymałem nowy, suchy, niemal pachnący morską trawą materac. Zasnęłem, a śniły mi się Hawaje i Międzyzdroje.

W rezultacie wstałem w nocy, kierując kroki w kierunku ubikacji. Ciemno w niej, pstrykanie wyłącznikiem nic nie daje, więc macając po ścianach brnę na porcelitowej azymut, który wreszcie osiągam. Jeszcze pół kroku i staje oto w sporym g... Co robić, zawzięłem się w tej fizjologicznej kontynuacji, brnę dalej. Ale nie mogę osiągnąć siedziska, bo wyjątkowo wysokie, na pomnikowym postumencie chyba stoł. Tymczasem woda kapie z sufitu na głowę... Przez cały

zbiorowej. Myślenie o filmie, o teatrze, nazwiskami które się stają nawet konwencjonalne. Znak równości między popularnością a talentem.

X miał rolę? Miał. Y miał wywiad? Miał. No to następny. Nie, nie o taką zasadę mi chodzi. Ależ, u Boga miłego, jakież zasób wiedzy, umiejętności, talentu musi mieć każdy z tych nielicznych, skoro nieustannie tylko tych samych widzimy, jak powtarzające się te same karty w uszczupionej talii — i jeszcze się nie zgrałi? Nie wierzę, że staje się to za sprawą wyłącznie ich zalet, które niech sobie będą niewątpliwe. Ze nie działa tu jakiś mechanizm „organizacyjny”.

Publiczność zresztą niekoniecznie musi być bezkrytyczna. Tylko jeśli za stronę dialogu ma określoną i wygląda, że limitowana pula rozmówców, z konieczności zwraca się do nich jako jedynie istniejących i to nawet w kwestiach wykraczających poza ich zainteresowania. „Warsztat” czy „emplot”. Z czasem powstaje przekonanie, że na tym polega prawidłowość naszego życia artystycznego, jak np. prawidłowością handlu jest brak asortymentów letnich w lecie wobec czego tego rodzaju artykuły należy kupować w zimie.

Nie zamierzam podważać kwalifikacji artystycznych nikogo z tu wymienionych, ani rozumianych w domyśle. Ale czas chyba skończyć z praktyką, że na temat filmu ma coś do powiedzenia zaledwie dwudziestu ludzi w Polsce. To szkodzi im samym. Przede wszystkim brak konkurencji (tej dobrej rozumianej bo źle rozumiana wydaje owoce w postaci opisywanego zjawiska), po wtóre przez możliwość przekonania o ich niezastąpionej doskonałości, co w tych warunkach byłoby nawet czymś naturalnym. Nie powiem, że przekonanie to wyrazi się w formach drastycznego zadufania, są przecież aktorami, ale jeśli się komuś nieustannie powtarza, że jest jedyny, czym zareaguje niekoniecznie słaba, bo wystarczą, że normalna natura ludzka? Jak zacząłem, tak kończę znakiem zapytania.

Ijon

## Jerzy Leszczyński

MĄDRY I OSIÓŁ

Mądry przedstawia wartość dla osła dopiero, gdy go trawa porośla.

POLONEZ KOWALSKIEGO

Uświęcony tradycją polski taniec — to chodzony z zebrania na zebranie.

KONIEC LUDZKOŚCI

...kości.

ZAPEWNIENIE

Czy jest na świecie coś wiecznego?

Na pewno.

Nie ma tylko nic pewnego.



— Skąd ja pana znam? Czy ja już kiedyś przypadkiem pana nie przejechałem?

Rys. L. Szalecki

minuta myślenia

## Sami swoi

**C**ZY nazwa „Idol” brzmi obraźliwie? Nie mam w tej sprawie wyrobionego zdania. No, jeśli to bożek, bałwan, czy w „rost złoty cielec, kwestia jest jasna. Ale jeśli to idol w tym znaczeniu, jakie mu się przypisuje dzisiaj, a więc ktoś zwracający na siebie ogromną uwagę z odrobiną albo ogrochem ukrywanej zazdrości u współczesnych — jak wtedy? Pozostawmy zresztą na obczu sam termin. Dla mnie kofarzy się ona z nazwą „sidol”, która przed wojną oznaczała plyn do czyszczenia kłamek i noży, dlatego nie chcę się nim nad miarę posługiwać.

zjawisko zostaje. Kiedyś w „Kulturze” ukazał się obszerny katalog idoli aktualnych w poszczególnych etapach naszej historii na przestrzeni niemal całego trzydziestolecia. Nazbierało się tego sporo. Tak sporo, że idolatria wychodzi jako zasadniczy czynnik polskiego reagowania na zjawiska kulturowe i nie

tylko. Niezależnie od tego, ile w tym wrażeniu przesady, coś jednak jest. Nie wiem, czy to my — widzowie, słuchacze, odbiorcy, konsumenci — wytwarzamy to zapotrzebowanie na modne nazwiska, czy wytwarzają je ośrodki masowego i niemassowego przekazu, wmiawiając je nam na zasadzie nieodwołalnej reklamy; ale myślenie modnymi nazwiskami jest faktem.

Kiedyś pojawiały się głosy poddające w wątpliwość słusność praktyki awansowania do grona postaci popularnych co drugiej piosenkarki. Głosy te już się nie pojawiają. Możliwe, że nie tylko co druga, ale w ogóle każda piosenkarka na to wyróżnienie zasługuje, możliwe też, że praktyka podobnego lansowania ustala. Też nie wiem, wyłączam telewizor. Natomiast praktyka ta zdaje się przeżywać swój renesans na terenie filmu. Jak nie Olbrychski, to Holobek, jak nie Zanussi, to Siemion. Fototy, wywiady, prezentacje, dyskusje, perkusje Osobliści nie mam nie przeciw autorom reżyserom, co najwyżej uważając niektórych za ludzi obdarzonych godną zazdrości umiejętnością życia. Natomiast mam coś przeciw tej metodzie społecznego, czy raczej pospolitego myślenia o sprawach sztuki, według której teje sztuki tworzenie odbywa się w kręgu paru wyselekcjonowanych postaci. Spójrzmy kina nie był np. Olbrychski. Był Olbromskim, Azją, Kmicicem, Panem Młodym, Hamletem. Nie wyliczam dalej, ponieważ do kinomanów ani teatromanów nie należy.

I nie chodzi mi wcale o to, ażali przykładowo tu przytoczony Olbrychski ma, czy też nie ma talentu. Chodzi mi o znak zapytania nad praktyką tej wyłączeni, która panuje w świecie sztuki powtarzanej, za jaką uważam aktorstwo. Zdałem sobie sprawę z tego, że rolę nie można przydzielać jak tywności na kartki w okresie rekrutacji, jestem nawet za tym, by aktor uznany za zdolniejszego od innych miał tych ról więcej, a nawet niech ma jak najwięcej. Tylko co? Tylko to, że „funkcjonuje” tu jakiś monopol idoli. „Ludzi lansowanych przy każdej okazji” — i że pasja owego lobby wytwarza już odruch warunkowy w świadomości

— No, jesteśmy sami na gospodarce! — zawolala. Gdy znaleźli się w jej pokoju, nastawiła adapter.

— Zatańczymy? To bardzo staroświeckie tango, ale modne jak zawsze.

Przygarnął ją do siebie. I w tej chwili nie istniała dla niego nic. Zuzanna jakże była odległa! Liczyła się tylko Basia. Całował jej puszyste włosy, oczy i zdawało mu się, że tak było zawsze.

— Chodź, usiądźmy na chwiele... — szepnęła. Porwał ją w ramiona mładszą pocałunkami usta.

— Wariacie, pogryziesz mnie — zawolala, chwytając oddech.

— Powiedz, kochasz mnie, kochasz?

— Tak, tak, tak. Nade wszystko na świecie! — mówił z uniesieniem.

— I zawsze będziesz mnie kochać?

— Zawsze. Boże, co ty ze mną zrobiłaś?

— Cicho! — zamknęła mu usta pocałunkiem. — I po chwili:

— A co się stanie z Zuzanną? Jeśli ona naprawdę...

— Naprawdę... — nie dokończył. Basia przypominała mu to, o czym pragnął zapomnieć.

— Musisz jak najszybciej pojsz z nią do lekarza. Trzeba mieć jasność. A może chce cię naciągnąć na małżeństwo?

O tym Mariusz nie pomyślał. Stota Basia przerażony go i jednocześnie uznystwoiły. Ze zrzeczywiście Zuzanna na ten temat mówiła już do niego. Czyżby ta cięta była trójkrotnie? Nie chciał w to uwierzyć. Ale raz postand zwątpienie poczynało już kielkować.

Znow przygarnął Basie do siebie.

Nie teraz nie mów — szepnęła. Zarzuciła mu ręce na szyję. Poczul, że krew zaczyna mocno pulsować w skroniach.

— Nie, Mariusz... Dzisiaj nie mogę. Boję się. Zresztą zaraz może przyjsz mama...

Jak by wyczuła, bo właśnie zagryzła klucz w zamku. Basia podbiegła do lustra, poprawiła zwichrzone włosy i pociągnęła szminkę ust.

MARTINA WSZYTKOWA



SMIAK MIŁOŚCI I KŁEZ

Basia wie już o wszystkim: szereg spraw między nią a Mariuszem wyjaśniło się. Ale w czasie rozmowy Basia zasiała u Mariusza wątpliwości: Zuzanna symuluje, czy rzeczywiście spodziewa się dziecka? Tymczasem — po wyjściu ze „Stylowej” — gdy Mariusz odprowadził Basie pod dom, ta zapytała: „Wstąpił na chwilę?” Oto dalszy ciąg powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante”.

(43)

Mariusz zawahał się. Trwało to przez ułamek sekundy, ale Basia spostrzegła jego niezdecydowanie.

— Jeśli nie masz czasu, nie będę cię zatrzymywała.

— Nie. Nic na dzisiaj nie zaplanowałem... Basia przekroczyła klucz w zamku.

— Mamu, nie ma w domu?

— Nie wiem. Już tak z przyszydzajenia sama otwieram.

Mariusz zatrzymał się przez moment w korytarzu, Basia zająła do pokoju.

— Jesteś... — w drzwiach stała matka Barbary. — O! widzę, że odwiedził nas dzisiaj pan Mariusz. Dzień dobry!

— Wyciągnęła rękę.

— Właśnie już zabierałem się do wyjścia — skłamał.

— Nie, przygotuj kawę. Dawno już pan nas nie odwiedzał. Pokłóciłicie się? Nie warto. Życie jest krótkie i nie ściele się po rózach. Zmierzniał pan trochę. Ma pan jakieś kłopoty?

— To panie mają kłopoty. Taka poważna sprawa...

— Oj, tak. To spadło na nas jak grom z jasnego nieba. Chociaż ja zawsze ostrzegałam męża. Teraz dłużnicy depczą nam po głowach. Sprzedałam już biżuterię. Ale pan, panie Mariuszu, jest dla mnie najważniejszy. Pan nie może nie stracić. Nigdy bym sobie nie darowała, aby pan stała się jakakolwiek krzywdą. Wie pan, chciałam już telefonować do pana, pragnęłam pana uspokoić.

— Mamu, przestań Mariusz wie wszystko.

— I chyba nas rozumie. Teraz tak trudno o zwykłą ludzką życzliwość. Ludzie stali się wstrętnymi egoistami. Ten monolog zaczął już męczyć Mariusza. Wypuł kawę i nie chciał przeciągać rozmowy.

— Zatelefonuj do mnie jutro — szepnęła Basia, gdy zegnali się w korytarzu.

— Chciałbym z tobą poważnie porozmawiać — zwrócił się następnego dnia Mariusz do Zuzanny.

— O czym?

— Wiesz, o czym.

— Nie możesz teraz?

— Wolalbym spotkać się po pracy. To będzie dłuższa rozmowa.

— I czy my jeszcze mamy o czym z sobą rozmawiać?

— Zuzi, jak możesz tak twierdzić? Po tym?

— Co było a nie jest, nie wchodził w rejestr.

— Przestań. Dlaczego zwracasz się do mnie w ten sposób?

Na biurku zadźwięczał telefon...

(cdn)